



NA SZLAKU

GRUDZIEN
1993
ROK VII NR 12/54

GÓRY * TURYSTYKA * ALPINIZM



Widok z Halli Gasienicowej. Foto: Zygmunt Świątek

* * *
 * **Wesołych Świąt Bożego Narodzenia** *
 * **oraz Szczęśliwego Nowego Roku** *
 * **wszystkim czytelnikom, autorom** *
 * **i sympatykom „Na Szlaku”** *
 * **życzy** *
 * **Redakcja** *
 * * *

Miesięcznik turystyczno-krajoznawczy
poświęcony gór.
Czasopismo Polskiego Towarzystwa
Turystyczno-Krajoznawczego

Zespół redakcyjny: Piotr Dacko (red.
techniczno-graficzny), Aleksander Lwow,
Krzysztof R. Mazurski (red. naczelny),
Andrzej Matuszczyk (Kraków),
Stanisław Nosol (sekretarz red.),
Ryszard Szlagor (red. wydawnictwa).

Sekretariat i administracja:
Małgorzata Podsiadło, tel. 386-69.

Stale współpracują: Tomasz Kowalik
(Warszawa), Józef Nyka (Warszawa),
Przemysław Pilich (Warszawa),
Juliusz Wystouch (Toruń).

Adres Redakcji: 50-106 Wrocław,
Rynek-Ratusz 11/12, III p., tel. 386-69.

Wydaje: Oficyna Wydawnicza „Sudety”
Oddziału Wrocławskiego PTTK.

Redakcja zastrzega sobie prawo
adjustacji tekstów.
Materiałów nie zamówionych
Redakcja nie zwraca.

Druk: Drukarnia Uniwersytetu
Wrocławskiego

Numer archiwalne do nabycia
w Redakcji.

Prenumerata na rok 1994 (wraz z kosztami
przesyłki) wynosi 150 000,- zł.
Prenumeratę przyjmuje: Oddział Wrocławski
PTTK, Oficyna Wydawnicza „Sudety”,
50-107 Wrocław, Rynek-Ratusz 11/12, III
p., Bank Zachodni I O/Wrocław, nr konta:
389206-1515-132 z zaznaczeniem
„Na Szlaku”. Prosimy o czytelne
podanie adresu.

Stały kolportaż prowadzą: CIESZYN —
Sklep PTTK „Gronie”, ul. Głęboka 42;
GLIWICE — Księgarnia „U Piotra”,
ul. Arkońska 8; KATOWICE — PTTK,
ul. Dyrekcyjna 10; KRAKÓW — Sklep
Górski „Wierchy”, ul. Szewska 23; NOWY
SĄCZ — O/PTTK, Rynek 9; SZKLARSKA
PORĘBA — Księgarnia „Libra”,
ul. Jedności Narodowej 10; ŚWIDNICA —
O/PTTK Świdnica; WAŁBRZYCH —
O/Wałbrzyski PTTK, ul. Lewartowskiego 2;
WARSZAWA — ZG PTTK, ul. Senatorska
11; WROCLAW — O/Wrocławski
PTTK, Rynek-Ratusz 11/12, O/Fabryczna
PTTK, ul. Wita Stwosza 15; ZAKOPANE —
Księgarnia Górská im. T. Staicha,
ul. Zaruskiego 5 (Dom Turysty)
oraz Redakcja.

SPOKOJNIEJ O „NIESPOKOJNYCH SNACH”, czyli jeszcze raz o rowerach w górach i nie tylko o tym

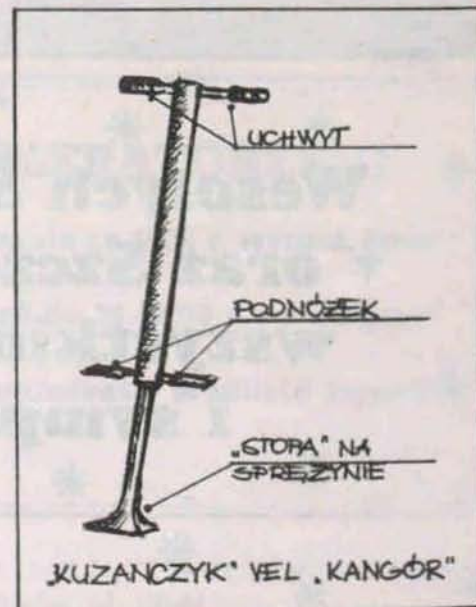
Felieton Krzysztofa J. Szmidta („Na Szlaku”, 10/52) skłonił mnie do zaprezentowania nieco innych poglądów w kwestii kolarstwa górskiego w Tatrach i w innych górach. Kolega Szmidt przedstawił swój punkt widzenia dowcipnie, choć według mnie nieco katastroficznie. Wypada ustosunkować się do wniosków, że Tatry są za małe, że są wypadki związane z rowerami, że rośnie popularność tego sportu itd., itp. Wszystko to prawda, należy jednak pamiętać również o tym, że prawie każda dziedzina aktywności człowieka związana jest z różnymi zagrożeniami i skutkami ubocznymi. Czy Tatry są za małe, jak pisze autor felietonu, „nawet dla turystów pieszych”? Myślę, że nie, pod warunkiem, że umówimy się, kto to są turyści. Tatry mogą okazać się za małe na przyjęcie masowego ruchu wycieczkowego i to jest prawda, zatykają się w okresach wakacyjnych i przy długotrwałych okresach ładnej pogody, ale to nie trwa wieczność i nie może być jedyną miarą problemu.

Popularność kolarstwa górskiego rzeczywiście rośnie i pojawiają się konflikty „na styku” turysta pieszy – turysta na rowerze. Chcę stanowczo podkreślić, że żadne restrykcje i zakazy nie uregulują wzajemnych stosunków między ludźmi uprawiającymi różne dyscypliny turystyczne i sportowe. Jest to sfera kultury osobistej w ogóle i na szlaku. Nie zastąpią jej żadne przepisy i kodeksy, na co są dowody. Przykład? Na nic zdał się kodeks narciarski, kiedy kilka lat temu w Szczyrku młody narciarz uduł się wpadłszy głową w zasę, bo nikt nie reagował na wołanie o pomoc jego kolegi, mimo że na stoku był spory ruch. Przynajmniej tak relacjonowano to wydarzenie w środkach przekazu. Z własnych doświadczeń i opowiadań innych turystów wiem, jak zachowują się narciarze w stosunku do pieszych turystów, na przykład na Hali Gąsienicowej. My piesi jesteśmy tam uznawani za intruzów. Ileż to razy odczekiwałem, by przeskoczyć tzw. „szyjkę” przy końcu zjazdu z Kasprowego, przed dolną stacją wyciągu. Mimo dużego wysiłku umysłu nie przypominam sobie, by choć raz nadjeżdżający narciarz zasygnalizował z daleka, że mogę przejść spokojnie. Nie inaczej jest na całej drodze spod Kasprowego do Murowańca – narciarze pokrzykują lub w ogóle nie sygnalizują swej obecności, a przecież nie wszyscy piesi mają oczy z tyłu głowy. A zatem Kolego Krzysztofie, nie jest Pan sam. Pana omal nie przejechał rowerzys-

ta, innych przeganiają ze ścieżek narciarze. Chcę jeszcze dodać, że kilkadziesiąt lat istnienia motoryzacji i istnienia przepisów regulujących ruch drogowy też niczego nie zmieniło. Co tydzień ginie na naszych drogach 40 osób, wymuszanie pierwszeństwa przejazdu jest ulubionym sportem rodaków, podobnie jak zajeżdżanie drogi i nieużywanie kierunkowskazów. Czy oznacza to, że nasz kraj jest za ciasny dla posiadaczy samochodów i innych pojazdów? Nie! Oznacza to tylko, że chamstwo istnieje niezależnie od kodeksów honorowych i zawodowych, przepisów prawnych i zdrowego rozsądku. Występuje w każdej prawie dziedzinie i miejscu, niestety – także na górskich szlakach.

Na koniec kilka słów o wynalazkach, które „śniły się” kol. Szmidtowi. Przykro mi, ale przedmioty nazwane przez Kolegę „górkorolka” i „kangór” już istnieją. Kilka lat temu „górkorolki” były prezentowane w telewizji. Co prawda nie miały zderzaków, ale młodzi narciarze z jakiejś beskidzkiej miejscowości zupełnie sprawnie radzili sobie na trawiastych stokach, trenując przed sezonem zimowym. Jeśli chodzi o przyrząd „kangór”, to nazywa się „kuzanczyk” i był (jest?) produkowany w dawnym ZSRR. Przykro mi zatem, ale nie był Pan pierwszy, Kolego Krzysztofie. Dodam tylko, że „kuzanczyk” widziałem na własne oczy, gdyż w 1988 r. przywiózł ów przyrząd znajomy, z podróży do Leningradu (wtedy jeszcze).

Juliusz Wystouch



Listy, opinie, polemiki...

Mam już kilka dowodów na to, że działacze górscy, ale przede wszystkim zapewne młodszy wiekiem i stażem górskim, błędzą. Niby nic nowego, każdemu się zdarza, ale...

Oto kolejny raz na łamach „Na Szlaku” znalazła się sprawa przodowników GOT, ich

południu oraz w Alpach czy Harzu sprzyjała wzaajemnym kontaktom. Toż to nasi przodkowie – a jest na to mnóstwo dowodów – sprowadzali do Lwowa i Krakowa plecaki, buty turystyczne, czekany, uczyli się posługiwać mapami w górach, organizowali schroniska na wzór „bud” alpejskich

RĘCE I SPODNIENIE... OPADAJĄ, CZYLI „ŻELAZNY TEMAT”

rodowodu w szczególności. W liście do Redakcji Andrzej Mazur i Lidia Dutkiewicz z Rybnika (nr 7-8 z 1993 r.) występują z propozycją zmiany w regulaminie GOT nazwy przodownik na przodownik GOT PTTK.

Argumentacja jest kolejnym dowodem, że przodownicy (obecnie aktywni) nie czytają publikacji, które od dawna starają się uprzytomnić, że nie wszystko narzucono nam w latach pięćdziesiątych.

Przypominam więc w skrócie, że temat wywołał w 1991 r. Lech Rugała na łamach „Na Szlaku” pisząc o tej sprawie w identycznym tonie i używając podobnych argumentów przeciw przodownikom. W numerze 5/1991 r. polemizowałem, starając się wskazać na błędne mniemanie, że wszystko już wiemy.

Wydawało się, że ostatecznie wyjaśnił sprawę przodowników i ich „pochodzenie” Wiesław A. Wójcik w artykule „Geneza i rozwój GOT” (Wierchy 1985, 54, s. 141-145). Jakby na potwierdzenie jego wywodów, na łamach „Na Szlaku” 6/1991 ukazała się kopia listu Polskiego Związku Narciarskiego do ZG PTT z 2 VI 1935 r., zawierającego protest i sugestię zrezygnowania z określenia „przodownik”.

Konkluzja jest taka: nazwę przodownik po raz pierwszy wprowadzono do regulaminu Górskiej Odznaki Polskiego Związku Narciarskiego w 1932 r.

Jeśli zatem ktokolwiek cokolwiek komukolwiek narzucał, to było zapożyczenie nazwy przodownik przez turystów górskich „letnich” od turystów górskich „zimowych”, czyli narciarskich. Ale w tamtych latach trzydziestych nie takie cuda towarzyszyły turystyce górskiej pod różnymi sztandarami.

Jeżeli już mówić o zapożyczeniach, to warto wiedzieć, że rysunek Górskiej Odznaki PZN zapożyczyło w 1952 r. PTTK, ustanawiając Górską Odznakę Narciarską PTTK. Przypominam, że jest to tęcza nad trzema wierzchołkami, a pod nimi litery PTTK. Ale wtedy protesty nie były w modzie...

Chciałbym więc życzyć kolegom z Rybnika więcej spostrzegawczości, to na górskich szlakach bardzo przydatna umiejętność. A ponadto – warto to i owo czytać (szczególnie „Wierchy”, gdzie to i owo o naszej historii można znaleźć, bo dzięki pozyskanej wiedzy można – jak to ujęli w swym liście Szanowni Rybniczanie – dobrze spełnić obowiązek nie tylko wobec Ojczyzny, ale i prowadząc, ucząc i wychowując podczas indywidualnych i grupowych wycieczek.

Drugi wątek wspomnianego listu z Rybnika dotyczy o wiele poważniejszego problemu. Czytam oto, że Autorzy listu *obserwując zjawiska turystyki górskiej u naszych sąsiadów Czechów, Słowaków i Niemców* wynioskowali, iż nasza kultura turystyki górskiej może być wzorem dla naszych sąsiadów.

Rzecz w tym, że wcale nie ma pewności, bo takie analizy nigdzie nie zostały przeprowadzone, ani też nikt nie zdołał udokumentować, że nasza turystyka jest wyższa od sąsiedzkiej. Przypominam Szanownym Autorom, że Polacy spod znaku PT i PTT wiele nauczyli się od Czechów i Słowaków oraz Węgrów, z którymi „łączył” nas jeden zabór. Łatwość wędrowania po górach naszego dzisiejszego pogranicza na

czy karkonoskich. Na wzór alpejski organizowano służbę przewodników i ratowników górskich.

Kto nie dostrzega takich „drobiazgów”, kto nie chce szanować prawidłowości społecznych i obyczajowych, ma potem kłopoty z odróżnieniem „turystów polskich” od „słowackich, czeskich i niemieckich”. Kulturę górską mamy prawie taką samą, a – przy odrobinie skromności – bardzo podobną, gdyż wywodzi się z tym samym źródłem. I długo jeszcze pogląd oraz nasze wspomniane mniemanie o sobie (także w górach), wyrażone słowami: *może być wzorem dla naszych sąsiadów*, będzie brzydko pachniał megalomanią.

Znowu, podobnie jak w przypadku sprawy przodowników, mści się zwyczajna niewiedza, brak głębszej refleksji o samym sobie, o upodobaniach i umiejętnościach. W czymże to, jeśli warto roztrząsać ten temat, jesteśmy lepsi od naszych sąsiadów? W tym, że oni nie mają przodowników? Zaręczam, że mają, ale nie prowadzą oni sporów o „imię własne”, a raczej o skuteczność w działaniu. Tak się składa, że u nich nie ma tzw. masowej turystyki, a u nas ciągoty do niej kwitną od czasów początków PTT (czyli dłużej niż 70 lat!).

Kolejny fragment listu z Rybnika dowodzi, że Kolegom brakuje przyzwolenia Tatrzańskiego PN na prowadzenie wycieczek po trudnych szlakach. Jakby nie wiedzieli, że komercjalizacja sięgnęła także ponownie do przewodnictwa. I nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie popierał konkurencji w Tatrach. Brakuje im „zwolenników” w postaci grupy, którą mogliby dowodzić choćby tylko na turystycznym szlaku?

Oponentom opłat za wstęp do Tatrzańskiego PN (i do innych) poddaje pod rozwagę taki oto drobiazg: bilet wstępu kosztuje tyle samo, co bilet tramwajowy gdzie indziej. Moim zdaniem – może się myśleć – tramwajem za takie pieniądze nie zajedziemy do takiego sanktuarium, jakim są Tatry. Uważam, że wstęp w Tatry jest drażniący tani. Tanioccha ośmiela do przypuszczenia, że „za takie pieniądze” to w Tatrach można wszystko. I mimo opłat, dzieje się w tych górach równie źle, jak przed laty. A więc tędy droga, m.in. do kultury turystyki górskiej.

Jest to taki sam manowiec, jak pogląd, że to inni w górach powinni czerpać jedynie słuszne wzory z polskich turystów górskich. Wygląda na to, że Kolegdy z Rybnika marzą o zniesieniu „narzuconego w latach pięćdziesiątych” przodownika. A sami w latach dziewięćdziesiątych proponują „wzory dla naszych sąsiadów”.

Na koniec proponuję: zajrzyć do regulaminu Górskiej Odznaki PZN z 1932 r., a sprawa przodowników wyjaśni się całkiem bezboleśnie. Gdyby jeszcze Szanowni Kolegdy z Rybnika zechcieli sięgnąć do wspomnianych publikacji, moje nadzieje będą bliskie spełnienia. Kolegdy będą wiedzieli więcej!

Tomasz Kowalik

RĘCE PRZY SOBIE, czyli schronisko na Wetlińskiej musi pozostać nasze!

Dopiero teraz, z łamów „Gazety Górskiej”, dowiadujemy się, że Bieszczadzki Park Narodowy wystąpił do ZG PTTK o podjęcie rozmów w sprawie przekazania schroniska na Poloninie Wetlińskiej Parkowi. Miało to miejsce 23 lutego br. Pozostaje tajemnicą, dlaczego środowisko turystów górskich nie zostało o tym poinformowane. Można było taką informację zamieścić w „Na Szlaku”, „Optymście”, magazynie „Góry”, przestać wiadomości do klubów górskich. Możliwości było wiele. Dlaczego tego nie zrobiono? Z obawy o to, że turyści zrobią kolejną awanturę o swoje? A może Zarządowa biurokracja nie identyfikuje się z ludźmi, którym ma służyć, czyli z turystami? Może za naszymi plecami odbywają się gry, o których mamy nie wiedzieć? Nie wiem. Wiem, że szykuje się zamach na NASZE schronisko, miejsce szczególne na turystycznej mapie, ze swoją osobliwą historią, którą przypomniał nam Andrzej Matuszczyk w nr 2/26 „Na Szlaku”.

Chcę nam zabrać schronisko, do którego nie raz dochodziliśmy „na ostatnich nogach” w upale, ulewie lub zadyrze, dające schronienie, skromny posiłek i zawsze gorącą herbatę, a także prawdziwą schroniskową atmosferę. Niewiele zostało takich miejsc dzisiaj, kiedy agenci schronisk zamieniają je w tancbudy lub hotele.

Do tego BPN wtyka nos w nie swoje sprawy. Jak czytamy w piśmie do ZG PTTK *Schronisko na Poloninie Wetlińskiej odbiega standardem od pozostałych obiektów PTTK w Bieszczadach nastawionych strategicznie na obsługę turystów zagranicznych, a bliższe standardowi obiektów noclegowych BPN przeznaczonych dla mniej zamożnych klientów.* („Gazeta Górská” – wrzesień 1993 r.) O co tu chodzi? Niech się Park zajmuje swoimi obiektami i sprawami, a nas i nasze obiekty zostawi w spokoju. Co oni się tak przejmują standardem naszych schronisk? To nie

ich schroniska i nie ich sprawa. Zupełnie nie rozumiem, skąd to sformułowanie o obiektach PTTK nastawionych strategicznie na obsługę turystów zagranicznych. Czyżby podjęto już jakieś decyzje i nie będą nas wpuszczają, nas – polskich turystów do polskich schronisk, w polskich górach, bo jesteśmy mniej zamożni od zagranicznych turystów? A ilu tych zagranicznych turystów odwiedza Bieszczady – kilkudziesięciu?, kilkuset? I właśnie dlatego, by nie psuć towarzystwa tymże zagranicznym turystom zatrzymującym się w obiektach PTTK, rodzimych turystów chce BPN przefflancować do swoich obiektów. A niby po co? Nam jest wystarczająco dobrze w naszych schroniskach. Zdaje się, że wyłożony marmurami hotel w Ustrzykach Górnych dyrekcja Parku uznała za model obowiązujący schroniska PTTK. W tej sytuacji najwyraźniej schronisko na Wetlińskiej przynosi swym wyglądem i wyposażeniem wstyd nam, członkom PTTK, a troskliwa dyrekcja Parku idzie nam na rękę i chce uwolnić nas od cierpień związanych z odwiedzaniem go. Tylko my wcale nie chcemy uszczęśliwiani przez Bieszczadzki Park Narodowy w żaden sposób, a już w taki – na pewno.

Dlatego apeluję do osób odpowiedzialnych za NASZĄ WŁASNOŚĆ o nie podejmowanie rozmów z Parkiem w kwestii tzw. przejmowania schronisk. Należy wyperswadować dyrekcji BPN, że standard schronisk PTTK jest sprawą PTTK, a nie Parku, i nie Park będzie decydował, dla kogo przeznaczone są nasze schroniska. Już dosyć ekspansji parkowej biurokracji i pseudoorganizacji ruchu turystycznego. Nie dość, że wyciągają od nas pieniądze za wejście w góry, to wyciągają ręce po nasze schroniska. Panowie z BPN! Ręce przy sobie!

Juliusz Wystouch

Ostatnie lata przyniosły nam, wraz ze zmianami politycznymi, rozluźnienie przepisów, które dawniej skutecznie zabraniały wydawania dobrych ogólnodostępnych map turystycznych. Dziś te ograniczenia należą już do przeszłości, a za zmianami ekonomicznymi pojawili się też zaraz nowi wydawcy map. Co więcej, w tyle za

renu. Lasy (zwłaszcza w Górach Izerskich) przedstawiono według stanu z połowy lat siedemdziesiątych. Nie wierzę, żeby po tylu latach kłęski ekologicznej wojsko dysponowało aktualnymi materiałami. Inne zastrzeżenie, to brak konsekwencji w oznaczaniu dróg. Nie wiadomo, do jakiej kategorii autorzy zaliczają szutrówki. Raz

czy zmieściłby się na odwrocie, zamiast na oddzielnych skrzydełkach. A ponieważ byłoby tam więcej miejsca, mogłoby się także znaleźć tłumaczenie opisu na język angielski, ewent. także czeski (jest jedynie wersja polska i niemiecka). Do zalet niewątpliwie zalicza się cena mapy. We wrocławskiej księgarni „Marko-Polo” przy ul.

PRZEWODNIK PO MAPACH

nimi wydaje się zostawać niedawny jeszcze monopolista, jakim było PTTK, które na razie wznowia główne stare mapy, zmieniając tylko okładki.

Poziom nowych map, tak samo jak ich wydawców, jest bardzo różny, a cena z reguły niezbyt niska. Myślę więc, że warto pokusić się o namiastkę przewodnika po nowych mapach, z którego czytelnicy mogliby się dowiedzieć, co poszczególne pozycje sobą prezentują, i uniknąć ewentualnych rozczarowań po kupieniu mapy. Oprócz omówienia, będę się starał stawiać oceny, które pozwolą może porównać jakość różnych map. Na całościowy wynik będą się składać oceny cząstkowe w skali od 0 do 5:

A – treść topograficzna,

B – treść turystyczna,

C – poziom techniczny, walory użytkowe,

D – trafienie w zapotrzebowanie wśród turystów.

WOJSKOWA KARTOGRAFIA RUSZA DO BOJU

Przegląd rozpocznę od nowych map Karkonoszy. Pierwsza z nich, to wydana przez wydawnictwo „Zasopisma Wojskowe” mapa topograficzno-turystyczna w skali 1:25 000. Składa się ona z dwóch części wydrukowanych dwustronnie na jednym arkuszu. Jej zasięg wyznaczają: na północy Jelenia Góra, na wschodzie Karpniki i Przeł. Kowarska, na południu Śnieżka, a w części zachodniej źródła Łaby, na zachodzie Sine Skalki w masywie Zielonej Kopy. Oprócz Karkonoszy więc mapa obejmuje niemal całą Kotlinę Jeleniogórską i znaczną część polskich Gór Izerskich.

Właściwie pierwszy rzut oka pozwala stwierdzić, że mamy tu do czynienia z nową jakością w kartografii turystycznej. Jest to po prostu nieznacznie zmodyfikowana wojskowa mapa topograficzna z naniesioną treścią turystyczną, nawiązująca do chlubnych przedwojennych tradycji WIG-owskich, czyli coś, na co od lat czekały rzesze turystów. Mapa ta ma wiele zalet, ale ma też i niedociągnięcia (wady to byłoby zbyt mocne słowo – zwłaszcza przy porównaniu z innymi mapami). Przyjrzyjmy się im pokrótce.

Bardzo precyzyjnie przedstawiono rzeźbę terenów z cięciem poziomocowym co 10 m. Podobnie dokładnie zaznaczona jest sieć hydrograficzna (tu jeden lapsus, wynikający być może z pośpiechu – zbiornik w Sosnowce jest dopiero w budowie). Zastrzeżenia mam do pokrycia te-

oznaczone są bowiem jako drogi gruntowe, raz jako drugorzędne. W efekcie na Pogórze Karkonoskim aż roi się od zaznaczonych na żółto dróg i konia z rzędem temu, kto z tej plątaniny wydobędzie prawdziwy przebieg szosy z Piechowic przez Jagniątków do Sobieszowa czy z Podgórzyna do Karpacza. Z kolei droga jezdną na Szrenię, od wielu już lat wyłożoną granitową kostką, oznaczona jest na znacznym odcinku linią przerywaną. A ściślejsze rozróżnianie kategorii dróg na mapach staje się coraz ważniejszą sprawą wobec rosnącej ilości posiadaczy rowerów górskich.

Inne niedociągnięcie to zupełnie „odpuszczenie” aktualizacji treści po stronie czeskiej. Wprawdzie zajmuje ona jedynie marginalną pozycję w całej mapie i turysta udający się w czeskie Karkonosze skorzysta z innej mapy, ale brak istniejącej od dawna obwodnicy Harrachova jest dość istotnym uchybieniem.

Do treści turystycznej, opracowanej przez Janusza Czerwińskiego, mam także kilka uwag. Wydaje mi się, że zbyt dużym uogólnieniem jest oznaczenie wszystkich zabytków architektury za pomocą jednej sygnatury. Wprawdzie część z nich (np. kościoły) zawarta jest już w treści topograficznej mapy, ale giną one w natłoku innych znaków. Dobry na to sposób znaleźli Czesi, ale o tym później. Poza tym są jednak dość istotne braki, jak np. pominięcie ruin zamków: na Chojniku, Grodnej i Krzyżnej Górze. W dolinie Małej Kamiennej jest podpisany rezerwat „Krokusy w Górzycu”, nie ma jednak żadnej sygnatury pozwalającej go zlokalizować. Całkowite pominięcie gastronomii jest, jak sądzę, zabiegiem celowym. Czy słusznie, można dyskutować, nie będę rozstrzygał. Szlaki turystyczne są zaznaczone na ogół dobrze, ale trzech na mapie brakuje: od III Drogi do Kotła Jagniątkowskiego (czarny), z Przeł. Karkonoskiej na Pielgrzymy (zielony) i z Karpnik do Szwajcarki (żółty). Odnośnie do strony czeskiej mam podobne uwagi, jak przy treści topograficznej.

Czuje się w obowiązku jednak zaznaczyć jedną istotną sprawę. Nie mam podstaw do rozstrzygnięcia, czyim „dziełem” są poszczególne błędy. Bywa bowiem tak, że autor treści turystycznej przeciera oczy ze zdumienia widząc „swoją” mapę po wydrukowaniu.

Do poziomu technicznego wielkich zastrzeżeń nie mam. Rysunek jest czytelny, papier dobry, jedynie dwustronny druk obu części na jednym arkuszu czyni korzystanie z mapy trochę niewygodnym. Lepiej było wydrukować obie części na oddzielnych arkuszach, które mogły mieć wtedy mniejszy format, bo opis krajoznaw-

Kard. S. Wyszyńskiego kupiłem ją za 18 tys. zł.

Pora wystawić oceny: A – 4, B – 3, C – 5, D – 5, co daje średnią 4,25. Myślę, że to wynik naprawdę dobry. Mam nadzieję, że przy drugim wydaniu jeszcze wzrośnie.

UCZYĆ SIĘ OD CZECHÓW

Druga mapa, nieco podobna do omówionej poprzednio, to „Krkonoše”, wydane w Republice Czeskiej wspólnie przez trzy firmy: wydawnictwo „Rohlík a syn”, Vojenský kartografický ústav i Klub českých turistů. Jest to także mapa turystyczna na podkładzie wojskowym, podobna w formie do całej edycji „pięćdziesiątek” wydawanych przez KČT. Nowością jest skala – 1 : 25 000. Obejmuje całe czeskie Karkonosze. Składa się z dwóch odrębnych arkuszy – wschodniego i zachodniego, z dość szerokim pasem mieszczącym się na obu mapach. Treść topograficzna niewiele się różni od obrazu na naszej mapie, oparto ją bowiem prawdopodobnie o tę samą edycję wojskowych map szczegółowych. Istotną różnicą jest cięcie poziomocowe co 5 m, co powoduje, że w stromych partiach rzeźba staje się ciężko czytelna. Znacznie aktualniejszy jest stan lasów. Zaznaczono obszary wylesione, także po polskiej stronie.

Jeśli chodzi o treść turystyczną, to ta mapa bije naszą na głowę! Jest o wiele bogatsza i bardziej szczegółowa. Autorzy poczynili zresztą kilka interesujących innowacji. Wszystkie nazwy, które mają swoje hasła w opisie krajoznawczym, są na mapie podkreślone wyraźną żółtą linią. Obiekty będące atrakcjami krajoznawczymi, a ujęte w treści topograficznej (kościół, pomniki itp.), świetnie ucyfelniono, otaczając czerwonym pierścieniem, oznacza on jednocześnie, że dany obiekt jest wzmiankowany w opisie. Zaznaczono na mapie trasy narciarskie i – nowość – odcinki ze znakowaniem tyczkowym. Ponadto są pokazane trasy dla rowerzystów. Tu mała dygresja – Czesi w swym parku narodowym wyznaczyli całą sieć takich tras i są one w terenie oznakowane – u nas dyrekcja KPN zdaje się nie zauważać problemów, jakie stwarzają rowerzyści wychodzący się w każdy zakątek Karkonoszy. Wrócąmy jednak do mapy. Trochę błędów znalazłem po polskiej stronie, ale i tak jest ona opracowana lepiej niż strona czeska na naszej mapie. Na odwrotnej stronie jest opis krajoznawczy po czesku i niemiecku oraz dookólne rysunkowe panoramki ze Śnieżki i wieży na Předním Žálem. Do treści turystycznej naprawdę trudno się przyczepić. Powstaje pytanie, jak osiągnięto tak

wspaniał efekt. Rzut oka na stopkę rozstrzyga wątpliwości. Pracował nad tym nie jeden człowiek, ale cały zespół autorów. Część znakarską opracował Václav Horák, część krajoznawczą i narciarską Jiří Rohlík. Trzeci autor (Jan Petera) opracował teksty, które były później recenzowane przez Theodora Lokvenca (jednego z najlepszych znawców Karkonoszy) i M. Kubáta. Na pewno zaangażowanie kilku osób zwiększa koszty i odpowiedzialność redakcji za koordynację prac, ale efekt jest wspaniały. Uważam, że jest to najlepsza mapa turystyczna z terenu Sudetów, która dystansuje wszystkie wydane w przeszłości. O tym, że wydawnictwo zależy na jakości i że traktuje ono użytkowników poważnie, świadczy jeszcze jedno. Obiecuje ono turystom, którzy wskażą na mapie lub w tekstach błędy, przesłanie bezpłatnego egzemplarza mapy.

Od strony technicznej nie mam żadnych zastrzeżeń. Warto zwrócić uwagę na sposób złożenia mapy. Umożliwia on łatwe otwarcie jej na dowolnym fragmencie bez konieczności rozkładania całej dużej płachty. Znakomicie ułatwia to korzystanie z mapy w terenie. Cena ok. 40 koron za arkusz nas nie szokuje, dla Czechów jest to jednak sporo. Co do zapotrzebowania, wstrzymam się od oceniania, bo nie znam na tyle czeskiego rynku. U nas taka mapa byłaby postępowym wręcz rewolucyjnym.

Oceniam ją następująco: A – 5, B – 5, C – 5. W sumie piątka bezapelacyjna. Chciałoby się, by nasi wydawcy zechcieli się uczyć od Czechów!

PAMPERSY, TAMPAXY I... MAPY „EKO-GRAFU”

Dziwne zestawienie? Też mi się tak wydawało, ale niedawno uświadomiono mi, że faktycznie, wszystkie te wyroby mają co najmniej jedną cechę wspólną: są jednorazowego użytku. Niedawno powstałe wrocławskie wydawnictwo „EKO-GRAF” zadziwia typowym dla... mniejsza z tym kogo, z jakim drukuje swoje mapy na kredowym papierze. Taka mapa ładnie wygląda leżąc na półce w sklepie czy wisząc na ścianie, ale w terenie okazuje się wręcz fatalna! Na rogach i zgięciach wyciera się już po pierwszej wycieczce, a jeżeli przyjdzie z niej korzystać przy kiepskiej pogodzie i w wilgotnym powietrzu (np. we mgłę), niszczy się w takim tempie, że na dobrą sprawę można ją wyrzucić. Złośliwi mówią, że może wydawcy o to właśnie chodzi – jedna mapa się zniszczy, kupi turysta następną... i szybciej sprzeda się cały nakład.

Powyższe odnosi się m.in. do wydanej w tym roku mapy „Karkonosze”. Zajrzyjmy jednak do środka. Po rozłożeniu od razu rzuca się w oczy zasięg. Mapa obejmuje całe Karkonosze (polskie i czeskie), co w połączeniu ze skalą 1:50 000 robi bardzo dobre wrażenie. Treść topograficzna jest na ogół dobrze opracowana, wydaje mi się, że możliwości, jakie daje skala 1: 50 000, zostały optymalnie wykorzystane. Poziomice poprowadzone są co 20 m, lasy oznaczone na tyle jasną zielenią, że nie zaciemnia ona sieci dróg i ścieżek oznaczonych barwą szarą. Wylesienia i uprawy leśne wyróżnione kolorem bladeżółtym (szkoda, że tylko po polskiej stronie). Dość dobrze zrobiono aktualizację, np. jest to chyba pierwsza mapa z naniesioną granicą Rudawskiego Parku Krajobrazowego. Zastrzeżenia budzą niektóre napisy, ale o tym poniżej.

Przejdźmy do treści turystycznej. Nie ma wzmianki, kto ją opracował, jest tylko nazwisko

Zbigniewa Garbaczewskiego jako konsultanta odnośnie przebiegu szlaków (sądzę, że po stronie polskiej, choć tego nie podano). I na terenie Polski szlaki są w zasadzie oznaczone dobrze. Jedyne istotne niedopatrzenie to brak czarnych szlaków z zamku Bolczów na Głaziska i z Końskich Łbów na Szrenicę. A poza tym treść turystyczna jest niedopracowana. Kilka przykładów: brak ruin na Grodnej, kościoła i pałacu w Mysłakowicach. W Podgórzynie jest napis „Nad Stawami”, ale nie wiadomo, czego dotyczy, bo nie ma sygnatury hotelu. Na przeł. Okraj jest oznaczone przejście graniczne, nie dowiemy się jednak z mapy, że korzystać z niego mogą tylko piesi i rowerzyści, co może niezorientowanych „wpuścić w maliny”, zwłaszcza, że droga od czeskiej strony na przełęcz oznaczona jest jako główna. Mniejszym niedopatrzeniem jest brak podpisu przy leśniczówce „Jedlinki” k. Krzaczyzny – węzła szlaków podpisanego tą nazwą w regulaminie GOT i na wszystkich bodaj dotychczasowych mapach. Jednak niepodpisanie stacji TV nad Śnieżnymi Kotłami – budynku widocznego niemal z całych Karkonoszy – jest istotnym brakiem. Niedoróbek po stronie polskiej jest więcej, nie one są jednak największym mankamentem. Prawdziwy horror panuje po stronie czeskiej. Błędów jest mnóstwo i dotyczą bardzo różnych elementów.

1) Szlaki. Kilka przemalowano na inne kolory, ale są to zmiany świeże i można za ich nieuwzględnienie redakcję rozgrzeszyć. Inne, jak przejście przez Kotel czy ścieżka od Krakonoša do Výrovki, zostały skasowane. Kilku na mapie brakuje, jeszcze inne mają źle oznaczone przebiegi.

2) Obiekty noclegowe i gastronomiczne. Oznaczone zostały wybiórczo i trudno dociec, jakie kryterium decydowało o umieszczeniu na mapie lub pominięciu (może losowanie). Nagminnie są błędy w ich kategoryzacji (np. Labská bouda to typowy hotel górski z cenami tak wysokimi, że nocują tam chyba tylko Niemcy, zupełnym więc nieporozumieniem jest oznaczenie jej jako schroniska). Česká bouda na Śnieżce od lat jest nieczynna i przeznaczona do rozbiórki. Obfí boudę rozebrano w 1984 r., a nieczynna była już kilka lat wcześniej. Umieszczenie na mapie obiektu fizycznie nieistniejącego od niemal dziesięciu lat, i to w jednym z najczęściej odwiedzanych miejsc Karkonoszy (po drodze na Śnieżkę), uważam za błąd kompromitujący! Chciałbym też zwrócić uwagę, że sygnatura oznaczająca u nas schronisko, u Czechów oznacza restaurację lub bufet. Redaktorzy korzystający z czeskich map nie zawsze o tym pamiętają, w wyniku czego np. kiosk przy pośredniej stacji wyciągu na Śnieżkę zamienił się nagle w schronisko. Usiłującym się tam przespać życząc dobrej nocy.

3) Inne obiekty turystyczno-krajoznawcze. Przykłady błędów: na Čemej hoře nie ma, jak sugeruje mapa, wieży widokowej, jest tylko przekaznik telewizyjny. Nie ma na mapie oddziału muzeum KRNP w Pecu pod Sněžkou. Wszystkie obiekty we Vrchlabí umieszczono w miejscu usytuowania, tylko muzeum pod nazwą miasta, choć zmieściłoby się bez problemu tam, gdzie znajduje się rzeczywistość.

4) Nazwy topograficzne. Największy lapsus to brak nazwy miasta przy Jabloncu nad Jizerou. Poza tym, jeśli autorzy podpisywali miasta dużymi literami, to należało podobnie postąpić z Harrachovem (prawa miejskie ma od 1973 r.). Štěpánka nie jest oboczną nazwą góry o nazwie

Hvězda, jak można wywnioskować z mapy, tylko nazwą wieży widokowej stojącej na jej szczycie. Śląski Grzbiet po czesku nie brzmi Slazsky tylko Slezský. Błędy ortograficzne w czeskich nazwach to temat na rozprawę dla językoznawcy. Ja tylko zwrócę uwagę na jedną regułę, której znajomość pozwoliłaby uniknąć wielu z nich (może nawet większości). W języku czeskim przymiotniki z a w s z e kończą się długą samogłoską.

5) Całkowicie nieaktualne są granice parku narodowego po stronie czeskiej, ale to także zmiana stosunkowo świeża. Polecam to uwadze autorów wszystkich map.

Na odwrotnej stronie mapy znajdziemy krótki tekst napisany przez Piotra Migonia, zawierający najważniejsze informacje o Karkonoszach (także tłumaczenia na język czeski i niemiecki). Ponadto szczegółowe plany Szklarskiej Poręby, Karpacza, Harrachova i Špindlerowego Mlýna. Te elementy są opracowane rzeczywiście dobrze. Nowością w naszej kartografii turystycznej są wprowadzone przez „EKO-GRAF” mapki z rysunkami roślin i zwierząt. Pomysł ciekawy i na pewno podnoszący walory mapy. Ostrożny byłbym jednak z ich tytułowaniem jako „rozmieszczenie” roślin i zwierząt, bo tego przy skali 1:125 000 zrobić się dobrze po prostu nie da. Zwierzątka są stłoczone, jak w Arce Noego, i np. pstrąg potokowy umieszczony został dokładnie na linii wododziału w okolicy Śląskich i Czeskich Kamieni.

Wystarczy tych uwag, pora wystawić oceny. Proponuję następujące: A – 4, B – 2, C – 1, D – 5. Średnia wychodzi 3,0. Sądzę, że ambicje wydawnictwa są większe, ale niestety, uważam że świetny pomysł jednolitej mapy całych Karkonoszy został zmarnowany przez sposób jej wykonania. Ośmielę się wysunąć przypuszczenie, że nie konsultowano jej treści z nikim po stronie czeskiej, czy choćby z kimś, kto zna dobrze czeskie Karkonosze. Można to usprawiedliwić w przypadku map, gdzie strona czeska występuje tylko marginalnie, ale nie w przypadku mapy obejmującej całe Karkonosze. Turystom udającym się tam radzę zaopatrzyć się w mapę czeską, a tej nie kupować.

Jeszcze jedno. Na odwrocie mapy znalazłem następującą informację: „Mapę wydano we współpracy ze stowarzyszeniem Bieg Piastów w Szklarskiej Porębie przy współudziale: Urzędu Kultury Fizycznej w Warszawie, Wojewódzkiego Urzędu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Jeleniej Górze, Sejmiku Samorządowego Gmin Województwa Jeleniogórskiego oraz Urzędów Miast Szklarska Poręba i Karpacz”. Obawiam się, że współudział w produkcji tej akurat mapy chwały wśród turystów powyższym instytucjom nie przyniosą.

Jacek Potocki

Karkonosze. Mapa topograficzno-turystyczna 1:25 000. Wydawnictwo „Czasopisma Wojskowe”, Warszawa 1993.

Krkoše-vychod, Krkonose-zapad. Turistická a lyžarská mapa 1:25 000, Vojenský kartografický ústav, s.p. Harmanec, nakladatelství ROSY Rohlík a syn, Klub českých turistů, 1993.

Karkonosze. Mapa turystyczna 1:500 000, „EKO-GRAF”, Wrocław 1993.

Tatrzański wątek rodzinnej sagi

Wydawałoby się, że wszystko już o Tatrach i ludziach w zasadzie opublikowano. A jednak... Jeśli pokopać głębiej w rodzinnych kufrach czy komodach, to znajdują się stare fotografie, stare listy czy diariuszowe zapiski. W ten sposób wyzyskano materiał do książki, która dotarła na rynek z początkiem jesieni. Oboje autorzy to osoby od dawna i silnie związane z PTTK i jego poprzednikami, przy czym szczególnie miło nam odnotować udział Adama Czarnowskiego, znanego działacza i publicysty, który zasilił swoją twórczością i nasz magazyn. O czym jest książka? To chronologicznie ułożone zapiski i korespondencje rodzinne, powiązane odpowiednią narracją i komentarzem oraz koniecznymi przypiskami. Zamieszczono, a jakże, tablicę genealogiczną, choć niepełną i garść starych fotografii i rysunków. Literatura tego rodzaju nie ma większych tradycji w naszym kraju, literatura poświęcona rodzinie w sensie kroniki pokoleniowej, poświęcona utrwalaniu czy poszukiwaniu przysłowio- wych korzeni. Ale bo też korzenie większości polskich rodzin sięgają płytko, zwłaszcza warstwy inteligentkiej, która najbardziej predystynowana jest do tego właśnie rodzaju kroków. Nie chodzi tu przy tym o powielanie i drukowanie banałów czy przeciętnych (z punktu widzenia procesów społecznych) losów, choćby dla jednostki i konkretnej rodziny były one nader ważne. Postulat swoistej niezwykłości spełnia los rodziny Ciechanowskich i z nimi spokrewnionych. To niebanalna rodzina, choć może nie w typie romantycznych bojowników, przy czym postaw walecznych i patriotycznych absolutnie w niej nie brakuje. Szczególnie interesujący wątek stanowi związek z Tatrami, sięgający połowy XIX w. – pierwsze wycieczki w stronę Tatr, zżywanie się rodziny z tymi górami, wydarzenia i anegdoty tworzące ich historię, tę wielką i tę zwykłą, jakże jednak malowniczą. Zwykle informacje o zwykłych sprawach, np. o waletowaniu w schroniskach, pasto-

waniu podłóg, eskapady po dziwnych ścieżkach – to wszystko obrazowo oddaje koloryt czasów i koloryt wspaniałych gór, życia w nich i przeżywania ich. To bardzo istotne uzupełnienie tego, co już wiedzieliśmy o Tatrach i środowiskach związanych z tym regionem.

Dla mnie szczególnie miło było spotkać na kartach skromnie, ale starannie wydanej książki, znaną postać Marysi Thiers z domu Ciechanowskiej, z którą chodziłem do wrocławskiej „jedynki”, razem zdawałem na geografii i razem studiowałem. Mieliśmy też okazję odbyć koleżeńsko-rodzinną grupową wycieczkę w Tatry, „poszaleć” w Ryttrze. To były czasy!

Oglądając dokładnie „techniczne” karty książki napotkać można dziwny zapis: *Seria „OPEN” (na ryzyko autorów)*. Domniemywać można, że to autorzy sponsorowali sobie sami wydanie, a firma tylko dała swój znak. Co za czasy!

Czyżby nie wierzone, że znajdzie się odpowiednie grono zainteresowanych tą tematyką? Cóż jednak dziwnego, skoro nawet przewodniki autorzy muszą sami sobie sponsorować. Ceny oczywiście nie ma, jak też i nakładu (to też nowa „moda” – obawa przed... No właśnie, przed czym?). Ale napisano, że powyżej 20 egz. można uzyskać upust cenowy. Skorzystajmy z tego! Całkiem jednak poważnie należy podkreślić, że rzecz doprawdy jest bardzo interesująca i lekko się ją czyta. Godna więc uwagi nie tylko „tatrologów” czy miłośników cracovian, ale wszystkich, którzy choć trochę interesują się górami i starą turystyką.

Krzysztof R. Mazurski

Jadwiga Ciechanowska, Adam Czarnowski, *Tatrzańskie lata (z wędrówek po górach i Zakopanem XIX-XX w.)*, Kraków: Towarzystwo Autorów i Wydawców Prac Naukowych „Universitas” 1993, 186 ss.+35 ilustr.+tab.

„PRACE PIENIŃSKIE” – TOM 5

Kończąc recenzję tomu 4 „PP” pisałem, iż oczekuję z zainteresowaniem na tom 5, mający się ukazać w okresie podwójnego jubileuszu: stulecia Oddziału Pienińskiego w Szczawnicy i pięćdeciulecia Ośrodka Kultury Turystyki Górskiej KTG ZG PTTK, również w Szczawnicy.

Miło mi zatem poinformować Czytelników „Na Szlaku”, że redaktor Ryszard Remiszewski okazał się niezwykle punktualny i tom 5 został wręczony uczestnikom obchodów jubileuszowych w Szczawnicy, które odbyły się w dniach 8-10 października br. Nosi on zresztą wymowny podtytuł: „W stulecie zorganizowanej turystyki pienińskiej”. I to już właściwie mówi wszystko. Jest to tom poświęcony w całości temu wielkiemu wydarzeniu w dziejach naszego Towarzystwa. W końcu chodzi tu o najstarszy istniejący oddział.

Lwią część tomu zajmuje bardzo obszerne opracowanie „Z historii Oddziału Pienińskiego TT, PTT i PTTK w Szczawnicy”, pióra prezesa Oddziału Stanisława Urbana. Jest to bardzo rzetelnie opracowana, szczegółowa historia oddziału, podzielona na kilka okresów obejmujących lata 1893-1914, 1914-1922, 1923-1939, 1939-1945, 1945-1967 (faktycznie rozdział ten obejmuje okres do 1993 r., ale autor tego już z niezrozumiałych powodów nie wyróżnił). Dziwić może cezurę ostatniego okresu, bo niby dlaczego tak ważny miał być ten rok 1967, ale dla czytelnika staje się jasne, że w Szczawnicy była to data istotna dla członków Towarzystwa.

Opracowanie Stanisława Urbana może zaimponować bogactwem materiałów i szczegółów przytaczanych w tekście, no ale w końcu jak się prezesuje aktywnemu oddziałowi, który przez stulecie pracował na swój dorobek, to można sobie pozwolić na pisanie obszernej historii, problemem staje się wówczas bogactwo wyboru.

Uważa lektura przekonuje, że właściwie w PTTK nie mamy nic nowego, że nasze obecne problemy wcale nie są całkiem takie nasze, już nasi poprzednicy przed blisko stu laty borykali się z takimi samymi problemami finansowymi, organizacyjnymi, nie obce im były konflikty personalne i sprzeczności interesów poszczególnych działaczy. Jednak jak się okazuje miało to summa summarum pozytywny skutek, zaowocowało bowiem bogatym dorobkiem i zahartowało działaczy na wszelkie przeciwności i kłopoty. Być może temu właśnie Oddział zawdzięcza nie tylko przetrwanie przez stulecie, ale i bogaty dorobek.

I dobrze się też stało, że autor zagadnieniom organizacyjno-gospodarczym poświęcił tak sporo miejsca, przytaczając wiele cytatów z dokumentów. Pokazuje to obecnym działaczom PTTK, że nasz dorobek powstawał w wielkim trudzie, zawsze przy liczeniu każdego grosza pozyskanego dla rozwoju turystyki. Mnóstwo nazwisk, zdarzeń, częściowo uzupełnionych oryginalnymi fotografiami powoduje, że powstał trwały pomnik działalności PTT i PTTK w Pieninach.

Artykuł ten poprzedzony jest opracowaniem Ryszarda Remiszewskiego „Towarzystwo Tatrzańskie w Pieninach – trudne początki”, który przedstawia genezę powstania Oddziału Pienińskiego i jego zebranie założycielskie. Materiał jest niezwykle interesujący, a to dzięki zachowaniu bogatych archiwaliów, w tym protokołu z zebrania założycielskiego. Niestety, wiele, znacznie młodszych oddziałów nie może się poszczycić taką dokumentacją. Jak się przekonujemy czytając tekst R. Remiszewskiego wcale nie tak łatwo powstał oddział w Szczawnicy, chociaż jednymi ze współzałożycieli TT byli: ówczesny właściciel uzdrowiska Józef Szalay i Feliks Pławicki, mający tu później posiadłość. Obaj od początku dążyli do utworzenia oddziału w Szczawnicy, szczególnie czynny był tu J. Szalay.

Niejako aneksem do obu artykułów jest zestawiony przez S. Urbana „Wykaz chronologiczny władz Oddziału Pienińskiego TT, PTT, PTTK w Szczawnicy od 1893 do 1993 r.” – tytuł mówi sam za siebie i należy się tylko cieszyć, że mamy jednostki, które mogą pochwalić się takim porządkiem w archiwaliach

Uzupełnieniem jubileuszowej treści są okolicznościowe „laurki”, m.in. krótkie wspomnienie Władysława Midowicza „W stulecie turystyki pienińskiej”, kilka utworów poetyckich i podsumowanie pięćdziesięciu lat dokonań Ośrodka Kultury Turystyki Górskiej PTTK.

Wydaje się, że 5 tom „PP” na pewno stanie się cennym materiałem dla zainteresowanych dziejami polskiej turystyki górskiej i jestem przekonany, że opracowujący dwustuletnie dzieje Oddziału Pienińskiego z całą pewnością głównie z niego będą korzystać dla omówienia „wczesnych dziejów XX w. turystyki pienińskiej” – my tego nie doczekamy, ale Oddział Pieniński na pewno.

Marek Staffa



Jadwiga Ciechanowska Adam Czarnowski

TATRZAŃSKIE LATA

Recenzje

UCZNIOWIE TECHNIKUM LEŚNEGO O „BIESZCZADZKIM WORKU”

Do rąk moich trafiła niedawno niecodzienna, zarówno pod względem formy, jak i treści wyjątkowo urokliwa książeczka „Worek Bieszczadzki”. A że nakład owej osobliwej książeczki jest niewielki i wobec tego z całą pewnością dotrze ona tylko do znikomej liczby czytelników i turystów, uznałem, że warto odnotować jej istnienie.

Co urzekło mnie w „Worku Bieszczadzki”? Przede wszystkim sposób jego powstania. Napisał bowiem „Worek...” ludzie bardzo młodzi – uczniowie klasy maturalnej Technikum Leśnego w Lesku: R. Szymuś, E. Tkacz, B. Andres, T. Furs, K. Graboń, K. Kubaszek, T. Wojnar i T. Wrona. Zafascynowani urokami „dzikości” tej stosunkowo mało znanej części Bieszczadów Zachodnich, rozciągającej się na wschód od Stuposian i popularnie przez turystów zwanej „workiem”, przemierzali ją wraz ze swoją „psorką-matematyczką” Aleksandrą Markiewicz, współautorką książki, wzdłuż i wszerz. Nie było to jednak zwykłe, turystyczne wędrowanie, raczej peregrynowanie niejako Kolbergowskie, pełne mrówczej skrzętności odnajdywanie i utrwalanie w słowie coraz bardziej w zapomnienie odchodzących śladów przeszłości tej tak mocno dotkniętej wyrokami powojennej historii ziemi. A więc peregrynowanie do ludzi tej przeszłości jeszcze pamiętających i do ludzi tą przeszłością w sposób zawodowy zainteresowanych, peregrynowanie po resztkach starych cmentarzy, cerkiewek, po „powsiach”... Zebrany w ten sposób materiał, wzbogacony o fachowe dane zaczerpnięte z podstawowej literatury bieszczadzkiej, złożył się początkowo na wydaną własnym sumptem, niewielką broszurkę. Niezadowoleni śladowym nakładem i edytorską niedoskonałością broszurki autorzy zwrócili się wkrótce po jej ukazaniu o pomoc do pracowników BPN i przy ich współpracy (m.in. A. Derwicha, M. Augustyna, L. Bekiera), nakładem Ośrodka Naukowo-Dydaktycznego BPN, mieszczącego się w Ustrzykach Dolnych, doprowadzili do drugiego wydania swego „dziełka” w kształcie tu prezentowanym.

„Worek Bieszczadzki” trudno w jakimkolwiek stopniu uznać za fachowy przewodnik turystyczny czy opracowanie naukowe, mimo iż obu tym formom gatunkowym jest najbliższy. Książeczka ta jawi się raczej jako zbiór luźnie ze sobą związanych i nieco chaotycznie rozwiniętych rozdziałów traktujących o historii „worka”, jego miejscowościach, mieszkańcach (domostwach, ubiorach, wierzeniach, religii), kolejce wąskotorowej, faunie i florze. Pisane są owe rozdziały nielekko gwarą uczniowską i, jakkolwiek widoczna jest dbałość o poprawność i elegancję językowego tworzywa, dzięki niej wyczuwalny staje się specyficzny

klimat młodzieńczej, szkolnej bez troski, niepowagi, humoru przesadzający o uroku całości. Stanowią o nim m.in. mini-komentarze do opisywanych wydarzeń i faktów („Sprawa się rypta...” – s. 14, „Boże, co za nazwisko” – s. 14, „znów jakiś Bojko ruszył głową...” – s. 38) czy wykrzykiwania („Uff” – s. 34). Tworzą go także quasi-histeryczne zdjęcia (s. 36, 41) oraz quasi-naukowe rysunki (s. 61, 62). Szczególnie pod tym względem (doskonale w jedno stopione są: irracjonalna młodzieńcza emocjonalność i dwudziestowieczny sceptycyzm) urokliwy wydaje się rozdział zatytułowany „Niesamowite opowieści”, traktujący w apostroficzno-humorystycznej formie opowiadania, przypominającego skądinąd gawędę, o wszelakich bojkowską wyobraźnię zapełniających bisurkaniach, propnastykach, chmarnikach (s. 42-56).

Nie ustrzegł się „Worek Bieszczadzki” pewnych błędów i usterek. Wynikają one z niedopatrzeń edytorskich („powiedzieć” – „powiedzcie”, s. 17, „idze” – „idzie”, s. 51) oraz z niekompetencji autorów. Do grupy tych ostatnich zaliczyć bez wątpienia należy w pierwszym rzędzie niezamierzoną „hybrydyczność” książki, brak spisu treści, brak alfabetycznego układu miejscowości porządkujących całość mocno w sumie chaotycznego opracowania, usterki w sporządzonej bibliografii przedmiotu (S. Kryciński nie jest jedynym autorem przewodnika „Bieszczady” – poz. 9, jest to praca zbiorowa!), usterki stylistyczne („Ale o niej

za kilka zdań – s. 25). Zważywszy jednak na wiek autorów i poziom oraz rodzaj ich wykształcenia są one zupełnie zrozumiałe, więcej – w jakiejś mierze wybacalne. O swej autorskiej bezradności twórcy „Worka...” bezpretensjonalnie i uczciwie swych potencjalnych czytelników we wstępie książki poinformowali!). Warto więc – miast wytykania błędów i mnożenia zarzutów, dostrzec raczej i docenić inicjatywę młodych ludzi, podkreślić wartości wynikające z ich sposobu wędrowania po ojczyźnie, godnych rozpropagowania. Warto również uprzytomnić sobie fakt (co błędów oczywiście w pełni nie usprawiedliwia!), że przecież „Worek Bieszczadzki” nie jest adresowany do wytrawnych znawców przedmiotu, ale przede wszystkim do młodzieży, rówieśników autorów. A że o jego merytoryczny poziom zadbał pracownik naukowy BPN, śmiało można ją młodym turystom, zafascynowanym Bieszczadami Zachodnimi, polecić. Tym bardziej, że książkę czyta się niezwykle lekko i przyjemnie.

Zdaje się, iż te zalety „Worka Bieszczadzkiego” turystyczna młodzież już dostrzegła. Książeczka bowiem w niektórych Punktach Informacyjno-Dydaktycznych BPN, do których ją rozwieszono (np. w Wołosatym, w Muczmem), sprzedawała się znakomicie.

Andrzej Burghardt

Worek Bieszczadzki. Praca zbiorowa, wyd. 2, Lesko 1993, ss.78.

„ZIEMIA ORAWSKA” – 1993

Po dwóch latach ukazał się drugi numer „Ziemi Orawskiej”, wydany starannie, z kolorową okładką, na pierwszy rzut oka wydaje się mniej ciekawy od pierwszego. I tak faktycznie jest.

Z tej szarości wyróżnić należy teksty Franciszka Kotta, zawierające sporo interesujących danych faktograficznych, istotnych w poznawaniu Orawy. Szczególnie zwróciłbym uwagę na tekst *Pamięci Zubrzyckiego proboszcza*, poświęcony ks. Janowi Maślakowi, góralowi rodem z Suchej Góry. Jest to bodajże pierwszy większy tekst poświęcony tak zasłużonej dla Orawy postaci. Mam nadzieję, że autor pokusi się w przyszłości o szczegółowszą biografię tego kapłana.

Dwa inne teksty tegoż autora również godne są odnotowania: jeden – mówiący o historii Orkiestry Dętej OSP w Zubrzyce Górnej, a drugi – dla etnografa cenniejszy, wyjaśniający, kiedy i z jakiej to przyczyny biją dzwony na Orawie.

Zwrócę też uwagę na inny tekst, Laszlo Diveky'ego, wnuka Gyulii Diveky'ego,

pierwszego poczmistrza z Podwilka. Pierwszy list z Podwilka wysłany został w 1882 r., czyli dokładnie 111 lat temu! Ten bardzo ciekawy tekst, może nazbyt lakoniczny, szczególnie polecam, bo uważny czytelnik wyłowi z niego wiele interesujących szczegółów.

Wspomnę jeszcze o tekście Andrzeja Madei i Józefa Pieroga, poświęcony *Aptece pod Zbawicielem* w Jabłonce, jednakże czytelnikom polecam uzupełnienie go o tekst drukowany w kwartalniku „Orawa”, nr 26-30/1993, wówczas obraz będzie pełniejszy.

Redaktorzy nazbyt dali się ponieść nurtowi merkantylnemu i poświęcili sporo miejsca na teksty typu: horoskop, oferty, informacje i mało znaczące krótkie teksty, w gwarze dziennikarskiej, zwane „michałkami”. Obym się mylił, ale wydaje mi się, że nie spowodują tym większego popyty, a niestety, obniżają wartość publikacji.

Kontynuacja „Ziemi Orawskiej” jest jednak faktem i to jest jej największym sukcesem.

Ryszard M. Remiszewski

NA SZLAKU 12/54 STR. 7

NA SZLAKU z Komisją Turystyki Górskiej ZG PTTK

Zmieniają się czasy, profil turystyki górskiej, a także sposoby jej uprawiania – nie zmieniają natomiast tradycje ogólnopolskich zlotów przodowniczych, tradycyjnie już niemal 30-letnie. Patrująca tym imprezom Komisja Turystyki Górskiej ZG PTTK stale szuka nowych, jeszcze nie odwiedzanych przez ogólnopolską kadrę przodowniczą rejonów, które

zmiany organizacyjne i strukturalne w całym naszym Towarzystwie. Czym jest to dla turysty górskiego i naszej kadry, każdy niech oceni sam. Wystarczy wyjechać w góry.

W pełni panujemy w KTG nad rozległą siecią szlaków turystycznych, choć dające się znów, jak przed laty, słyszeć pogłoski o finansowaniu konserwacji szlaków przez

kadre przodowników o wysokim dla niej uznaniu, opowiedział o przygotowaniach do wytyczania w Gorcach specjalistycznych ścieżek przyrodniczych oraz planowanych w związku z tym wydawnictwach. Pierwsza z omawianych ścieżek powstała na odcinku z Koninek na Polanę Szalasiska.

Dyrektor Ryszard Cybulski z Urzędu

XXVIII OGÓLNOPOLSKI ZLOT PRZODOWNIKÓW TURYSTYKI GÓRSKIEJ PTTK

można byłoby zapropagować na późniejsze indywidualne wyjazdy dla działaczy programowych turystyki górskiej. Trudna do przecenienia pozostaje wreszcie integracyjna rola tych Zlotów, podczas których mogą spotkać się i wymienić poglądy przodownicy z całej Polski, w większości jednak, jak dowodzi praktyka, z Polski środkowej i północnej.

Po zesztorocznych Bieszczadach (Ustrzyki Górne i Wetlina), XVIII Zlot odbywał się w dniach 24-26. 09. 1993 r. na terenie Gorców z bazą w Ośrodku Wypoczynku i Sportów Zimowych w Porębie Wielkiej-Koninkach, u północnych podnóży Turbacza. W organizacji imprezy z wielkim sercem i doświadczeniem zaangażowała się Elfyda Trybowska, wiceprezes Oddziału PTTK w Rabce, Członek Honorowy PTTK i jeden z nestorów polskiej turystyki górskiej. Oddział rabczański pełnił rolę gospodarza, a prezes Ignacy Kurzeja przewodniczył części dyskusyjnej obrad. Uczestniczyli jako goście: dyrektor Wydziału Gospodarczego Urzędu Wojewódzkiego w Nowym Sączu Ryszard Cybulski, dyrektor Gorceńskiego Parku Narodowego Andrzej Gruszczyk, naczelnik Grupy Podhalańskiej GOPR Julian Chrustek oraz wójt gminy Niedźwiedz Marian Talar.

Z programowego wystąpienia przewodniczącego KTG ZG PTTK Marka Staffy na rozpoczęcie Zlotu wynika więcej powodów do obaw i niepokojów niż akcentów optymistycznych. Przede wszystkim należy zacząć od tego, że dzisiejsze PTTK z obecną ilością członków – ok. 200 000 osób, nie jest już tym Towarzystwem z lat siedemdziesiątych czy osiemdziesiątych. Unormowane zostały za to podstawy formalno-prawne i relacje pomiędzy Centralnym Ośrodkiem Turystyki Górskiej PTTK w Krakowie a Fundacją o tej samej nazwie oraz KTG ZG PTTK. Komisja od sierpnia ub. r. tworzy Radę Nadzorczą nad Ośrodkiem, obsługującym jej działalność programową.

Nawiązując do odbytej w końcu maja Krajowej Rady Aktywu Górskiego Marek Staffa przypomniał, iż od 1983 r. do dziś przez KTG ZG przewinęło się około 40 osób, a w ciągu 10 lat tych samych osób pozostało zaledwie 7. Duża rotacja kadr społecznych w Komisji odzwierciedla zatem duże i częste

zmiany organizacyjne i strukturalne w całym naszym Towarzystwie. Czym jest to dla turysty górskiego i naszej kadry, każdy niech oceni sam. Wystarczy wyjechać w góry. W pełni panujemy w KTG nad rozległą siecią szlaków turystycznych, choć dające się znów, jak przed laty, słyszeć pogłoski o finansowaniu konserwacji szlaków przez

gminy byłyby bardzo niewskazane. Wpływ na bazę i to, co w niej się dzieje, przez KTG, jak był, tak i nadal jest prawdziwie enigmatyczny. W ostatnim czasie z powodu nieuregulowania stosunków własnościowych Towarzystwo straciło schronisko PTTK „Czartak”, a oddziały chcące prowadzić samodzielnie schroniska ciągle należą do nielicznych. Jeżeli dodać do tego mniejszy jednak w ogóle ruch turystyczny w górach, przy rosnącej konkurencji w bazie pod górami – trudno patrzeć z optymizmem w przyszłość.

Kadra przodownicza utraciła praktycznie swoje pole działania w niektórych parkach narodowych (zwłaszcza w Tatrzańskim). Na szczęście, są jeszcze parki odnoszące się do przodowników z szacunkiem dla ich społecznej służby, jak Karkonoski (bezpłatne wkładki do legitymacji przodowniczych) czy Gorceński (nie planuje się w nim wprowadzenia opłat za wejście w Gorce).

Odnazka GOT, przeżywająca w latach 1991 i 1992 pewną stagnację, znów wykazuje wyraźne tendencje wzrostu. Do pewnych pozytywów można zaliczyć wydanie przez Oddział Wrocławski PTTK 57 rocznika „Wierchów”, który obejmując lata 1988-1991 wyraźnie podgonił narastające zaległości czasowe. Dobrze byłoby, gdyby przodownicy bardziej angażowali się w pisanie do „Wierchów”, zwłaszcza o tematach typu regionalnego z własnego terenu, co wydaje się konieczne dla podtrzymania wiarygodności rocznika. Tom 58 „Wierchów” (za rok 1992) miał ujrzeć światło dzienne w grudniu 1993 r. w Centralnym Ośrodku Turystyki Górskiej PTTK w Krakowie przy okazji sympozjum poświęconego 120-leciu powstania Towarzystwa Tatrzańskiego. Dzięki pomocy resortu może bez przeszkód i regularnie ukazywać się wydawany we Wrocławiu miesięcznik „Na Szlaku”, obecnie jedyny tytuł o profilu górsko-krajoznawczo-alpinistycznym dostępny w prenumeracie.

Na zakończenie wystąpienia przewodniczący KTG argumentował dalszą konieczność wysyłki rocznej „Informacji” dla wszystkich przodowników turystyki górskiej w Polsce (bez względu na koszty), gdyż jest to jedyna forma kontaktu naszej górskiej centrali z każdym przodownikiem.

Dyrektor Gorceńskiego Parku Narodowego Andrzej Gruszczyk, zapewniając

Wojewódzkiego w Nowym Sączu, wspominając wyjątkowo udany 40 Zlot Młodzieżowy im. Czesława Trybowskiego w Rabce (19.09.1993 r.), apelował o stałe czuwanie nad nakłanianiem młodzieży i dzieci do uczucia turystyki i wychodzenia w góry.

Naczelnik Grupy Podhalańskiej GOPR Julian Chrustek zachęcał do kontaktów z Pogotowiem zarówno kadry górskiej, jak i turystów, nie tylko przy okazji wypadków czy urazów. PTTK powinno doceniać znaczenie również profilaktycznej pracy GOPR (prelekcje, przeżoćca, filmy, pokazy sprawności ratowniczej), dzięki której ilość wypadków w górach wyraźnie się zmniejsza.

Przebieg dyskusji na Zlocie, w którym uczestniczyło około stu przodowników turystyki górskiej, najlepiej obrazuje sformułowana załączona uchwała.

Były jednak w dyskusji poruszane także i inne kwestie, które nie doczekały się ujęcia w uchwale. Wnioskowano np. powrót w PTTK do sporządzania kalendarzy imprez, co pozwoli chociaż w części uniknąć dublowania się szeregu istotnych merytorycznie zgrupowań. W czasie, gdy obradowaliśmy w Koninkach, chodząc równocześnie po Gorcach, w Szczawnicy odbywał się Ogólnopolski Rajd Przewodników PTTK, w Zawoi Markowej otwierano nowy Ośrodek Kultury Turystyki Górskiej, a w Poznaniu pod patronatem wojewody Włodzimierza Łęckiego miało miejsce kolejne spotkanie krajoznawców i autorów przewodników z kręgów PPTK-owskich.

Działająca pręźnie Delegatura Wschodniokarpacka KTG (której przewodniczący i członek KTG ZG Ignacy Zatwarnicki przybył na Zlot) wzywała kadrę do przekazywania wszelkich uwag do Sanoka na temat stanu bazy i szlaków turystycznych w Beskidzie Niskim i Bieszczadach. Trzeba tu też zaznaczyć, że trud prowadzenia obrad Zlotu w sobotę i niedzielę przejął wieloletni prezes oddziału PTTK w Ustrzykach Dolnych i działacz KTG ZG Wojciech Geło. Na trasach zlotowych widziałem również Zygmunta Kalużę – członka KTG ZG PTTK z Rzeszowa oraz Cecylię Rudzką – przez 22 lata sekretarza KTG ZG.

Zebrani sugerowali, aby każdy z kolejnych Zlotów miał z góry ustalony jakiś jeden przewodni temat dyskusji.

Zdarzały się też „wstydlive” pytania z sali, z cyklu: gdzie podziały się i na co poszły wpływy od członków PTTK w wysokości 100 000 zł, o które wnioskował ostatni Krajowy Zjazd Delegatów PTTK w Poznaniu. Były także poruszane sprawy moim zdaniem żenujące i zamysły, którym zdecydowanej odprawy udzieliła już ostatnia Krajowa Narada Aktywu Górskiego – jak np., czy zmienić nazwę przodownik PTTK na przewodnik PTTKI?

Najlepszą oprawę dla części wycieczkowej Zlotu stworzyła wspaniała, prawdziwie letnia i słoneczna pogoda, przy widocznych już wyraźnie barwach jesieni. Dzięki pogodzie aktywni przodownicy, zwłaszcza zamieszkały z daleka od gór, mógł powędrować na Wasielkę, Turbacz i Stare Wierchy, odwiedzić słynną „Orkanówkę” lub wyjechać wyciągiem krzeselkowym na Tobolów, aby na pobliskiej Suhorze zwiedzić jedyne w Beskidach górskie Obserwatorium Astronomiczne.

Zebrań przodownicy i zaproszeni goście obejrżeli niezwykle oryginalną kompozycję pokazu przeźroczy ilustrowanych muzyką, a zwaną multiwizją. Dotyczyła ona kolorytu i urody Górców w ciągu czterech pór roku.

Na zakończenie informacji o Zlocie parę prywatnych obserwacji dotyczących schroniska PTTK na Turbacz. Wszyscy wiedzą, że całkiem niedawno zakończył się remont tego jednego z największych górskich obiektów w Karpatach. Ale jakoś tu smutno, a równocześnie drogo.

W pustym okienku recepcyjnym cennik za noclegi od 45 000 do 75 000 zł za łóżko. Do tego dopłata za pościel 5000 zł (!). Kierownik Turbacza oferuje też przysnic za jedyne 10 000 zł lub nocleg na materacu za 30 000 zł. Na I piętrze straszą zdewastowane sanitarium bez wody, a zagospodarowana gustownie przez całe dziesięciolecie sala telewizyjna to dziś wielkie, całkiem puste pomieszczenie.

Podobnie pusto i smutno prezentuje się kontuar i witrina baru w jadalni. W kuchni bigos, parówki i jajecznicza lub dla szczególnie spragnionych oryginalne piwo Okocimskie za jedyne 20 000 zł za puszkę. Na wszystko to z prawdziwym frasunkiem spogląda znad służbowego stolika przy oknie, z historycznej już fotografii, patron Górców – Władysław Orkan...

REALIZACJA UCHWAŁY XXVII ZLOTU PRZODOWNIKÓW TURYSTYKI GÓRSKIEJ W BIESZCZADACH (WRZESIEŃ 1992 r.)

Realizując jedną z uchwał tegorocznego XXVIII Ogólnopolskiego Zlotu Przodowników Turystyki Górskiej w Koninkach, zamieszczam wnioski do realizacji ze Zlotu w Bieszczadach z krótkim komentarzem. Wnioski sformułowała sekretarz KTG ZG PTTK Cecylia Rudzka w sprawozdaniu z ubiegłorocznej imprezy:

1. Należy uznać istniejącą sieć szlaków górskich za stabilną i w zasadzie docelową.

2. Zlot zwraca się do Krajowej Narady Aktywu Górskiego o włączenie Karpat Wschodnich do Regulaminu GOT.

3. Zlot wnioskuję do władz Towa-

rzystwa o umocnienie pozycji PTTK na terenach parków narodowych.

4. Zlot wyraził podziękowanie Dyrekcji OZGT w Sanoku za wyraźną troskę o obiekty górskie i za widoczny przyrost bazy na terenie Bieszczadów.

5. Zlot z zadowoleniem przyjął deklarację Oddziału PTTK w Rabce do organizacji XXVIII Ogólnopolskiego Zlotu Przodowników Turystyki Górskiej w Koninkach.

Wciąż mówi się o uznaniu sieci szlaków w naszych górach za docelową (formalna uchwała KTG ZG na ten temat została podjęta jeszcze w 1977 r., lecz stale znakowane są nowe szlaki. Nie wchodząc w racje merytoryczne, tylko w 1993 r. mogli je znaleźć turyści w Bieszczadach, Beskidzie Wyspowym i na Pogórzu Karpackim.

Krajowa Narada Aktywu Górskiego w Krakowie (maj 1993 r.) nie zajęła w swoich uchwałach stanowiska w sprawie włączenia Karpat Wschodnich do regulaminu GOT. Co do podobnego typu wniosków z innych rejonów, KTG miała zawsze zdanie, które można skomentować: z dużą rezerwą.

Pozycja PTTK w parkach narodowych ulega od 1992 r. znacznemu osłabieniu w miejsce spodziewanego wzmocnienia. Wystarczy przypomnieć tylko o stałym ograniczaniu wykonywania na tych terenach statutowych funkcji przodownika turystyki górskiej.

UCHWAŁA XXVIII ZLOTU PRZODOWNIKÓW TURYSTYKI GÓRSKIEJ PTTK W KONINKACH

1. Uczestnicy Zlotu z najwyższą troską odnotowują fakt pozbywania się przez ZG PTTK bazy w górach (ostatnio np. schroniska PTTK w Czartaku), bezwzględnie wnioskując o powstrzymanie tej tendencji.

2. Wniósł się o utrzymanie corocznych Zlotów Przodowników Turystyki Górskiej PTTK jako ogromnie ważnej formy integracyjnej kadry programowej w górach.

Sudety w pytaniach i... odpowiedziach

Niby to miała być pozycja szkoleniowa, w istocie stała się swoistym (ze względu na formę) podsumowaniem współczesnej wiedzy o tych niezwykle atrakcyjnych górach. Autor, wieloletni działacz turystyki, aktualnie ponownie przewodniczący KTG ZG PTTK, i krajoznawca sudecki, w 377 pytaniach (na niektóre trzeba jednak samemu poszukać odpowiedzi – no i dobrze) zawarł niemal kompletną wiedzę krajoznawczą o tych górach. Jak ona jest bogata i ciekawa, trzeba samemu się przekonać. Trafiają się drobne potknięcia, ale rzadko i w sprawach raczej drugorzędnych. Na podstawie lektury widać, jak bardzo po 1945 r. została wzbogacona skarbnica regionalnej mądrości. Nie jest to do opanowania przez kandydatów na przewodników turystyki górskiej, ale także każdy może wykorzystać opracowanie jako (póki co) encyklopedię sudecką. Gorąco polecam!

Marek Staffa: *Sudety* (Góry polskie w pytaniach i odpowiedziach). Warszawa: „Kraj” 1993, 211 ss. Biblioteczka Turysty Górskiego, t. 18.

K.R.M.

3. Należy stworzyć nową formę kontaktu KTG ZG PTTK z kadrą przodowników za pośrednictwem Terenowych Referatów Weryfikacyjnych GOT.

4. Zobowiązuje się KTG do utrzymania corocznej „Informacji” do wszystkich przodowników indywidualnie. W 1994 r. należy wdrożyć obowiązek przesyłania do KTG zwrótnie zaadresowanych kopert ze znaczkami na tę „Informację”, co będzie wprowadzone na stałe od roku 1995.

5. Zlot wnioskuję o dobrowolne opodatkowanie się przodowników na cele materiałów informacyjnych realizowanych przez Centralny Ośrodek Turystyki Górskiej PTTK oraz Fundację o tejże nazwie.

6. KTG ZG PTTK powinna znów stać się inicjatorem organizowania obozów wędrownych w górach.

7. KTG ZG PTTK ma być nadal monopolistą od znakowania w górach wraz ze wszelkimi wynikającymi stąd konsekwencjami.

8. Poprawę stanu bezpieczeństwa młodzieży wędrującej w góry należy wyegzekwować poprzez szkolenia nauczycieli prowadzących grupy młodzieży, a także poprzez odpowiednie akty normatywne wydawane przez Ministerstwo Edukacji Narodowej (tu współpraca z Komisją Młodzieżową ZG PTTK).

9. Zlot zobowiązuje KTG ZG do niezwłocznego zamieszczenia na łamach „Na Szlaku” sprawozdania z wykonanych uchwał poprzedniego XXVII Zlotu odbytego we wrześniu 1992 r. w Ustrzykach Górnych i Wetlinie.

10. Uczestnicy Zlotu składają podziękowanie Oddziałowi PTTK w Rabce oraz Dyrekcji Ośrodka Wypoczynku i Sportów Zimowych w Koninkach za wzorowe zorganizowanie imprezy.

Komisja Wnioskowa Zlotu:

1. Witold Laurentowicz – Poznań
2. Maria Antos – Mszana Dolna
3. Maria Burchardt – Kłodzko

Andrzej Matuszczyk

Szkoła Górską w Karpaczu zaprasza na kursy i imprezy

BEZPIECZEŃSTWO W GÓRACH:

1. Kurs podstawowy dla przewodników:
I termin 10-16.01.1994 r.
II termin 18-24.01.1994 r.
2. Szkolenie wspinaczkowe w warunkach zimowych:
I termin 19-26.02.1994 r.
II termin 6-12.03.1994 r.
3. Kurs narciarski 7-13.03.1994 r.
Uwaga:
Dla grup zorganizowanych dodatkowo terminy do uzgodnienia.

ZAWODY:

1. Międzynarodowe Zawody w Ski-alpinizmie na trasie Spindlerov Mlyn—Karpacz — marzec 1994 r.
2. Mistrzostwa Polski w Triathlonie Górskim — maj 1994 r.
3. Międzynarodowe Zawody Rowerów Górskich na trasie Karpacz—Spindlerov Mlyn — lipiec 1994 r.
4. Międzynarodowe Zawody na rowerach górskich na trasie Szklarska Poręba—Karpacz — sierpień 1994 r.
5. Wyścig kolarski na rowerach górskich Karpacz—Snieżka — wrzesień 1994 r.

W tym roku upłynęło 120 lat od utworzenia Galicyjskiego Towarzystwa Tatrzańskiego (poprzednika PTT), czyli tym samym od narodzenia się zorganizowanej turystyki górskiej na ziemiach polskich. Rocznica ta przeszła jako niezauważenie. Być może powodem jest to, że jubileusz ten

Być może nie będzie on tak znaczny. Można liczyć, że przy zmniejszonej liczbie zdobywców popularnej czy małej brązowej GOT większa ich część będzie uzyskiwać wyższe stopnie. Dziś jednak tego nie da się przewidzieć.

Tak więc popularność odznaki wy-

rze. Nie twierdzą, że regulamin GOT nie powinien być w ogóle nowelizowany. Sytuacja społeczna w naszym kraju w ostatnich latach tak się diametralnie zmieniła, że odbija się to echem praktycznie we wszystkich dziedzinach życia, m.in. w turystyce. W naturalny sposób wymusi to zmiany, także w re-

Problemy turystyki górskiej – refleksje na przegapiony (?) jubileusz

przypada w okresie kryzysu, jaki przeżywa cała praktycznie turystyka, a zwłaszcza kwalifikowana. Warto się dziś zastanowić nad tym, co właściwie z turystyką się dzieje. Niewątpliwie spada liczba ludzi spotykanych na szlakach. Wydaje mi się jednak, że to, co obserwujemy w ostatnich latach, to nie tylko ilościowe zmiany. Sądzę, że równoległe dokonuje się też istotna zmiana dominującego modelu turystyki. Uważam, że pożytecznie będzie pomyśleć, jak w tej zmieniającej się sytuacji powinno się zachować PTTK. Jesteśmy bowiem najsilniejszą organizacją turystyczną w Polsce, co szczególnie wyraźnie widać w górach. Z drugiej strony pojawiają się nowe inicjatywy zmierzające do utworzenia organizacji o podobnym charakterze (choćby nowe PTT) czy nawet wyciągnięcia niektórych tradycyjnie związanych z PTTK sfer działalności poza Towarzystwo. Musimy więc dbać o to, by środowisko PTTK-owskie było po prostu atrakcyjne. Powinno nam zależeć, by młodzi turyści przychodzili do nas, bo w przeciwnym wypadku mogą stać się naszymi konkurentami. Przyciągnięcie młodzieży to zadanie naszej kadry programowej. W środowisku górskim przede wszystkim przewodników i przewodników. Zanim będziemy się zastanawiać nad tym, co robić, przyjrzyjmy się temu, co można dziś w turystyce górskiej zaobserwować. Myślę, że istotnych informacji dostarczają tu sprawozdania KTG dotyczące Górskiej Odznaki Turystycznej, która w jakimś stopniu odzwierciedla panujące tendencje.

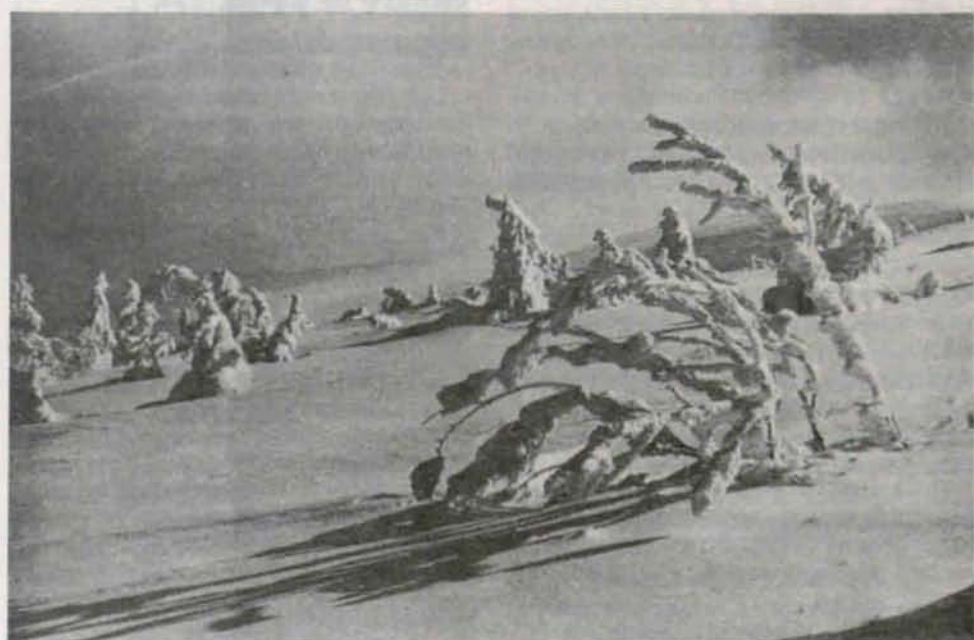
Niewątpliwie ją także dotknął kryzys. Z roku na rok GOT zdobywa coraz mniej turystów. Największy spadek liczby zdobytych odznak nastąpił w roku 1990. Popularnych GOT zdobyło wówczas o czterdzieści procent mniej niż rok wcześniej, małych brązowych o jedną trzecią mniej. Potem wprawdzie spadek ten stał się wolniejszy, ale cały czas trwa. Nieco inaczej ma się rzecz z wyższymi stopniami. Załamanie w roku 1990 nie było tak gwałtowne, ale wygląda na to, że spadek popularności dużych stopni będzie trwał dłużej. Jest to zresztą łatwo wytłumaczalne – wiele jest osób, które od dawna uprawiają turystykę, zdobywają GOT i będą to robić dalej, niejako siłą rozpędu. Mniej natomiast osób zdobywa w tej chwili początkowe stopnie GOT i całkiem możliwe, że spadek ten do poziomu dużych odznak dotrze dopiero za kilka lat.

rażnie spada, przynajmniej w liczbach bezwzględnych. Jak się to ma do ogólnego spadku popularności turystyki górskiej, trudno mi wyrokować. Wydaje się jednak, że Górską Odznakę Turystyczną będzie trwała, bo żywe są nadal cele, które przyświecały jej ustanowieniu w 1935 roku: „...pobudzenie jak najszerzej rzesz turystów do poznania terenów górskich...” i „...rozwoj kultury fizycznej wśród szerokich warstw społeczeństwa”. Podobnie istnienie GOT gwarantują rzesze ludzi popularyzujących ją wśród turystów – przewodników turystyki górskiej. Nie bez znaczenia jest także ponadpółwieczna tradycja GOT. Warto zauważyć, że Górską Odznakę Turystyczną, na tle innych odznak PTTK, trzyma się chyba najlepiej w obecnych trudnych czasach. Ileż to bowiem różnych odznak czorono w minionych dziesięcioleciach! Żywot większości z nich był jednak stosunkowo krótki – dopóki czynnymi działaczami byli pomysłodawcy powołania odznaki, tak długo ona istniała. Tylko niektóre odznaki, szczególnie GOT i OTP, mając tradycje i wielu zwolenników w różnych środowiskach, w dalszym ciągu są licznie mimo wszystko zdobywane.

Raz po raz odzywają się jednak głosy, że regulamin GOT wymaga zmian. Komisja Turystyki Górskiej Zarządu Głównego jest generalnie konserwatywna i nastawiona do tych pomysłów dość sceptycznie. I dob-

gulaminie GOT. Są one konieczne, bo jeśli odznaka przestanie być atrakcyjna, turyści po prostu przestaną ją zdobywać. Dotychczas regulamin zmieniał się już wielokrotnie, wraz ze zmianami panującymi w turystyce zwyczajów. Inaczej wyglądał przed wojną, inaczej w latach pięćdziesiątych, inaczej obecnie. Ten, który teraz obowiązuje, powstawał w sytuacji społecznej znacznie różniącej się od dzisiejszej i być może faktycznie nie jest już dziś najlepszy. Wszelkie zmiany powinny być jednak dobrze przemyślane, bo wszak rewolucje przynoszą z reguły więcej szkody niż pożytku. Poza tym zanim zdecydujemy się regulamin przerabiać, musimy mieć pewność, że po wprowadzeniu zmian nie trzeba go będzie ruszać przynajmniej tak długo, jak przetrwał obecny. Śmiem wątpić, czy w dzisiejszej niestabilnej sytuacji w kraju i w Towarzystwie potrafimy taki regulamin stworzyć. W moim przekonaniu jeszcze trzeba z tym poczekać.

Na razie, myśląc o przyszłym kształcie GOT, warto zastanowić się, jak w przyszłości będzie wyglądała turystyka górska w Polsce. Na pewno inaczej niż dawniej. W większym stopniu pewnie będzie zbliżona do wzorów zachodnioeuropejskich, błędem byłoby jednak przenoszenie ich do nas żywcem. Mamy bowiem bogate własne tradycje, które niewątpliwie warto kultywować. Zabierając głos w dyskusji chciałbym zwrócić uwagę na to, w jakim generalnie



Pod Szrenicą w Karkonoszach. Foto: Zdzisław J. Zieliński

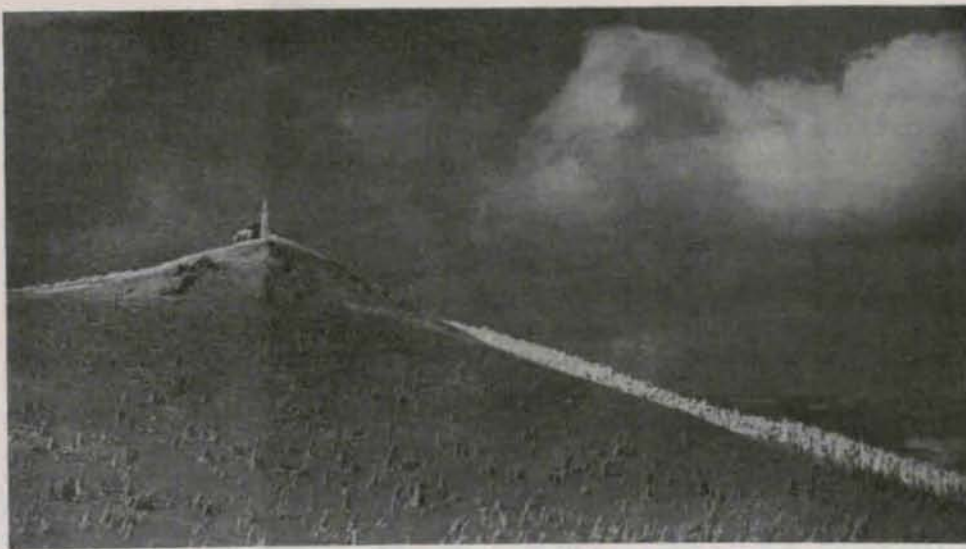
kierunku szły dotychczasowe zmiany regulaminu i czym było to spowodowane.

Niewątpliwie od czasu powołania GOT nastąpiło upowszechnienie turystyki idące w parze z coraz większymi kwalifikacjami osób ją uprawiających i coraz dokładniejszą turystyczną penetracją naszych gór. Konsekwencją tego było stopniowe poszerzanie spisu wycieczek oraz umożliwianie zdobywania odznaki na trasach w nim nie ujętych, także poza szlakami znakowanymi. Echa tych zmian widać także w zasadach zdobywania dużych stopni GOT – od wymogu przejścia ściśle trasą całego Głównego Szlaku Karpackiego przed wojną, do samodzielnego ustalenia trasy z uwzględnieniem kilku wyznaczonych punktów obecnie. Wydłużał się również okres aktywności turystycznej w ciągu roku, co spowodowało stopniowe wydłużanie sezonu zdobywania GOT. Obniżano też kilkakrotnie dolną granicę wieku ubiegających się o odznakę.

Inną koniecznością wynikłą z coraz większej popularności GOT była decentralizacja nadawania odznak. Wraz ze wzrostem liczby przodowników powoływano Terenowe Referaty Weryfikacyjne, uprawniając je do nadawania odznaki małej brązowej. Potem stopniowo zwiększano ich kompetencje, tak że dziś mogą nadawać wszystkie stopnie do małej złotej włącznie.

Regulamin GOT jest tak sformułowany, by w trakcie zdobywania kolejnych stopni turysta poznawał kolejne pasma górskie (dotyczy to zwłaszcza dużej GOT). Aby dojść do dużej złotej GOT, trzeba odwiedzić praktycznie całe polskie góry. Jest to logiczne, wszak PTTK działa na terenie Polski, zatem i GOT powinna zachęcać przede wszystkim do poznawania naszych gór. Od czasu do czasu wywoływało to spory – czy umożliwić zdobywanie odznaki za granicą? Przecież góry się na niej nie kończą. Przyjęto rozwiązanie kompromisowe, zezwalające na zaliczanie w poczet punktów na GOT wycieczek odbytych na obszarach konwencji turystycznej – czyli w czeskich Karkonoszach i słowackich Tatrach. Po otwarciu granicy z Czechosłowacją, w 1978 roku, znacznie rozszerzono tę możliwość, dopuszczając zdobywanie GOT w pasmach górskich położonych w pasie do około 50 km w głąb Czechosłowacji. Ustalenie to wzbudziło znaczne kontrowersje, tak że w następnym wydaniu regulaminu pojawiło się zastrzeżenie wykluczające zdobywanie tam początkowych stopni odznaki (do małej srebrnej włącznie). Problem jednak dość szybko stał się raczej teoretyczny wobec ponownego zamknięcia granicy w 1981 roku. Teraz znowu odżywa, tym bardziej, że granicę dziś przekracza się jeszcze łatwiej niż w latach 1978-81 (wtedy wprawdzie też nie obowiązywały zaproszenia, ale były problemy z wymianą pieniędzy).

Niezależnie od realiów politycznych jednak, GOT zdobywano zawsze przede wszystkim w polskich górach, tak powinno być nadal i pewnie też tak pozostanie. Problem jednak w tym, że coraz więcej jest wycieczek, podczas których przekracza się granicę. W sytuacji, gdy zostaną wreszcie



Szrenica. Foto: Zdzisław J. Zieliński

otwarte turystyczne przejścia graniczne dla pieszych zlokalizowane wewnątrz gór, a prędzej czy później to nastąpi, może coraz częściej dochodzić do sytuacji, kiedy z punktów zdobytych w ciągu jednego dnia wędrówki część będzie weryfikowana, część nie. A chyba nie o to chodzi. Jeden ze sposobów rozwiązania tego problemu to dopuszczenie zdobywania wszystkich stopni GOT w przygranicznych pasmach czeskich i słowackich, z zastrzeżeniem, że określona w regulaminie część punktów powinna być zdobyta w Polsce. Czy jest to wyjście najlepsze – kwestia do dyskusji. Tak przy okazji, można się zastanowić, czy przy wznowieniu spisu wycieczek punktowanych nie podzielić go na dwa tomy – oddzielnie Sudety (z uwzględnieniem strony czeskiej, która jest opracowana), oddzielnie Karpaty i Góry Świętokrzyskie.

Wraz z zasadami zdobywania GOT zmienił się regulamin przodowników turystyki górskiej. W momencie ustanawiania odznaki powołano ich spośród najbardziej doświadczonych działaczy PTT i turystów górskich, a dla kandydatów na nowych przodowników GOT postawiono w pierwszym regulaminie wymóg zdobycia srebrnej GOT drugiej kategorii (czyli według dzisiejszej nomenklatury dużej srebrnej). Po wojnie, gdy zdobywanie odznaki coraz bardziej się upowszechniało i potrzeba było więcej kadry, obniżono tę poprzeczkę do małej brązowej, obligując przodowników do zdobycia w ciągu roku po uzyskaniu uprawnień małej srebrnej, a w ciągu kolejnych dwóch lat małej złotej GOT. Z czasem, gdy liczba przodowników rosła, znowu poprzeczkę podwyższano, wychodząc z założenia, że bardziej należy dbać o jakość kadry. Od momentu ustanowienia odznaki dużej w stopniu brązowym w 1977 roku, wymaga się jej posiadania od kandydatów na przodowników. Jest wprawdzie furka dla studentów, którzy mogą zdawać egzamin posiadając odznakę małą złotą, pod warunkiem zdobycia w ciągu dwóch lat dużej brązowej GOT. Praktyka jednak wskazuje, że mało kto spełnia ten ostatni wymóg, stąd niechęć komisji egzaminacyjnych do nadawania uprawnień studenckich.

W ostatnich latach daje się jednak zauważyć tendencję, która może być na dłuższą metę groźna. Pisałem, że istnienie GOT gwarantują rzesze przodowników. Ich rola nie kończy się jednak na sprawach związanych z odznaką. Są oni jednocześnie propagatorami górskich wędrówek, do których odznaka jest tylko dodatkiem. Dlatego niepokojem napawa fakt, że zaczyna brakować w tym gronie ludzi młodych. I choć aktywnych przodowników – obiektywnie rzecz biorąc – jest dużo, średnia ich wieku nie nastraja optymistycznie. Różnie się ten brak przodowniczej młodzieży tłumaczy, różne też pojawiają się pomysły rozwiązań. Wielokrotnie wskazywano, że barierą jest wymóg posiadania dużej brązowej GOT. Argumentuje się, że trudno ją w dzisiejszych czasach zdobyć, ze względu na wysokie koszty wielodniowych wycieczek wymaganych od osób ubiegających się o duże stopnie odznaki. Zgadzam się z pierwszą częścią tej opinii. W moim środowisku jest wielu doświadczonych turystów górskich, którzy zatrzymali się w zdobywaniu GOT na małej złotej. Nie sprowadzałbym jednak przyczyn tego stanu rzeczy wyłącznie do kosztów. Turystyka w ogóle jest droga, a czy będzie to jednorazowy duży wydatek czy kilka mniejszych w pewnych odstępach czasu – to sprawa drugorzędna (choć nie całkiem bez znaczenia). Trzeba natomiast zauważyć, że wycieczki na małą i dużą GOT to zupełnie inny model turystyki. Duże stopnie GOT wymagają wielodniowych wędrówek, z każdym praktycznie noclegiem w nowym miejscu. Normę na małe GOT natomiast można wypełnić w trakcie krótszych, na przykład weekendowych, wyjazdów lub penetracji jakiegoś terenu w oparciu o stałą bazę. Wydaje mi się, że ten drugi model turystyki zaczyna coraz bardziej u nas dominować.

Przyczyny rzadszego podejmowania dłuższych wędrówek są różne. Wspomniałem już o kosztach. Daje się też zauważyć niechętnie przyjmowanie turystów na pojedynczy nocleg. Już teraz właściciele niektórych obiektów windują cenę noclegu,

jeśli nie zamierza się zostać na kilka dni. Bywa, że nie chcą nawet słyszeć o rezerwacji, jeśli nie zamówi się wyżywienia, za które często dość słono trzeba zapłacić. Trzeba się liczyć z tym, że praktyki takie będą coraz częstsze, bo najlepiej zarabia się na gastronomii – same noclegi to zwykle kiepski interes. Dawniej sprawę rozwiązywały obiekty PTTK-owskie, spójność ich sieci zapewniały jednak głównie stacje turystyczne, z których do dziś prawie nic nie zostało.

Dzisiaj czasami naprawdę trudno ułożyć sensowny program wycieczki na dużą GOT, unikając przy tym drogich noclegów. Gdy ja zdobywałem dużą brązową GOT (podczas rajdu „Szlakiem Skalnych Grzybów”), spałem po kilka nocy w jednym obiekcie, zaliczając wszystkie punkty pośrednie w okolicy (do niektórych i tak było dość daleko), a potem następował ekstremalnie długi dzienny odcinek (bo ze środków lokomocji korzystać nie można) do miejsca następnego noclegu. Nie wszyscy są jednak w stanie wytrzymać tak forsowną wędrowkę. Jeśli ktoś na przykład zamierza zdobyć dużą GOT prowadząc obóz z młodzieżą, niewielkie ma szanse na zrealizowanie swoich planów.

Nie bez znaczenia dla zmian w dominującym modelu turystyki jest chyba także fakt, że wśród turystów mniej dziś jest takich, dla których sama wędrowka jest głównym celem wyjazdu. W coraz większym stopniu rozwija się bowiem krajoznawstwo i dla wielu turystów te dwa nurty są praktycznie nierozdzielne ze sobą związane. Szczególnie wyraźnie widać to w Sudetach, które dopiero ostatnio zaczynają być naprawdę solidnie poznawane (i to nie tylko przez turystów). Ten związek turystyki z krajoznawstwem jest zupełnie naturalny i nie jest niczym nowym. Wydaje mi się jednak, że bardziej efektywnie można poznać jakiś teren mając stałą bazę i penetrując okolicę podczas jednodniowych wypadów „na lekko”, niż w trakcie długiej wędrowki z ciężkim plecakiem (choć i to nie jest niemożliwe). Tak więc jeśli mocniej będzie akcentowany w turystyce element krajoznawczy, nie będzie to raczej sprzyjać długim wędrowkom. Innym jeszcze czynnikiem wpływającym na zmianę dominującego modelu turystyki w Polsce są otwarte granice. Coraz częściej na dłuższe wędrowki wyjeżdża się w góry, które do niedawna były dla nas niedostępne, a w kraju raczej organizuje się krótsze wypadki. Ta tendencja raczej się utrzyma.

Wydaje się więc, że duże stopy GOT będą w coraz większym stopniu elitarne. Nie uważam, że wielodniowa wędrowka z dużym plecakiem jest czymś od czego należy odchodzić. Wręcz przeciwnie – jest świetną przygodą. Nie wydaje mi się więc, by istniała konieczność zmiany zasad zdobywania dużych GOT. Sądzę jednak, że w sytuacji, gdy coraz mniej turystów się na takie eskapady wybiera, warto rozważyć, czy trzeba być długodystansowcem, by zostać przodownikiem, czy nie wystarczy jednak wymóg małej złotej GOT. Może się

bowiem za jakiś czas okazać, że turyści po górach chodzą, chcą zdobywać odznakę, tylko nie ma kto potwierdzać im punktów. Taką sytuację już mamy z przodownikami posiadającymi uprawnienia na Tatry. Utrudnienia w uzyskiwaniu tychże tak skutecznie zniechęciły potencjalnych kandydatów, że np. we Wrocławiu przodowników tatrzańskich, czynnie działających w turystyce górskiej, można policzyć na palcach, wszyscy mają ponad czterdzieści lat (a o średnim wieku to już lepiej nie wspominać), a ostatni wrocławianin uzyskał je, z tego co wiem, jedenaście lat temu. Nie wiem, na ile jest to uzasadnione twierdzenie, ale w środowisku dolnośląskich działaczy słychać opinie, że komisja egzaminacyjna niemal z gruntu „wycina” wszystkich kandydatów spoza Małopolski. Tu może warto uczynić zastrzeżenie, że nie piszę tego z pozycji pokrzywdzonego, bo o uprawnienia na Tatry starać się nie zamierzam (przynajmniej na razie). Trudno się jednak pogodzić z tym, że kiedy przychodzi ktoś prosić o potwierdzenie punktów z Tatr, to czasami trudno mu nawet wskazać do kogo ma z tym pójść. Czas najwyższy postarać się o odmłodzenie kadry przodowniczej, a już szczególnie posiadaczy uprawnień tatrzańskich. Przy obecnych zasadach ich uzyskiwania będzie to w dzisiejszej sytuacji raczej niemożliwe.

Odznaka to jednak, jak już wspominałem, tylko dodatek do turystyki. Gdyby ona była jedyną domeną PTTK-owskiego środowiska górskiego, to już dawno straciłoby ono swoje znaczenie. Tymczasem Towarzystwo nasze skupia miłośników turystyki z całego kraju, reprezentuje poprzez Komisję Turystyki Górskiej ich interesy i głównie na tym polega jego atrakcyjność. Ten ogólnopolski charakter PTTK musi utrzymać, jeśli chce, aby się z nim w przyszłości liczone. Gdy w ramach reformowania struktury PTTK rozwiązano parę lat temu Zarządy Wojewódzkie, nie miałem żadnych wątpliwości, że była to decyzja uzasadniona. Twierdzą tak do dziś. Uważam bowiem, że były one biurokratycznym

przerostem wnoszącym do Towarzystwa niewiele, a pochłaniającym pokaźne środki. Niektórzy wszakże utyskiwali na zerwanie łączności między oddziałami i upatrywali w tym zagrożenia dla dalszego istnienia PTTK jako spójnej ogólnopolskiej organizacji. Wydaje mi się jednak, że jeśli oddziały rzeczywiście coś robią i mają wspólne problemy, to nawiążą między sobą łączność oddolnie, a rolę „skrzynki kontaktowej” przyjmie najsilniejszy na danym terenie oddział. Przeważnie zresztą jest to siedziba dawnego Zarządu Okręgowego. Tam natomiast, gdzie nie ma w ogóle silnych oddziałów, kompletnym absurdem byłoby utrzymywanie jeszcze jakichś ogniw pośrednich.

Wydaje mi się, że przykładem PTTK-owskiej jednostki, która dzięki wspólnym problemom i istnieniu więzi między działaczami z różnych ośrodków utrzymuje (czy odbudowuje) swoją spójność, jest właśnie Komisja Turystyki Górskiej. Te wspólne dla komisji przy różnych oddziałach sprawy, to przede wszystkim utrzymywanie szlaków turystycznych i Górską Odznakę Turystyczną, a zatem to, co jest domeną społecznych działaczy. Można więc chyba zaryzykować twierdzenie, że PTTK jako organizacja ogólnopolska będzie istniała tak długo, jak długo będą w nim ludzie rozwijający, według jednolitych wzorów, w ramach społecznej pracy, działalność programową. Oczywiście trzeba stworzyć im do tego warunki, co jest zadaniem kadry zawodowej, ale nie wyobrażam sobie sytuacji odwrotnej – PTTK jako ogólnopolskiej instytucji prowadzącej działalność gospodarczą, bez działaczy społecznych. Ostatnie lata nie sprzyjają jednak społecznikom i ich liczba (nie tylko zresztą w PTTK) wyraźnie zmalała. Jednym z efektów tego jest brak ludzi do obsadzenia różnych funkcji we władzach Towarzystwa, w komisjach, klubach i innych jednostkach, które często mają wspólne interesy, a ich działalność się pokrywa. Coraz częściej więc się zdarza, że ci sami ludzie wchodzi do różnych ciał statutowych, skutkiem czego



tracą czas na jałowe nieraz posiedzenia poszczególnych gremiów, kosztem konkretnej działalności.

Skąd wziął się ten problem? W czasach, gdy było więcej aktywnej kadry, a działalność programową hojnie dotowano, powstały w naszym Towarzystwie liczne jednostki, które tworzą dziś sztuczną trochę mozaikę, bo często profil ich działalności jest podobny. Problem nie polega jedynie na tym, że poszczególne osoby mogą tracić czas kilkakrotnie debatując w kilku miejscach na zbliżone tematy. Poszczególne PTTK-owskie komórki czasami niepotrzebnie zaczynają konkurować między sobą. W środowisku górskim widać takie szkodliwe tarcia między KTG a przewodnikami. Niektórzy przedstawiciele tej ostatniej grupy traktują przodowników z góry, uważając ich za turystów, którzy mają zbyt małe umiejętności, by zdobyć blachę przewodnicką. Sporo szkód uczyniło tu zadufanie niektórych przewodników posiadaniem uprawnień państwowych. Przodownicy z kolei nie pozostają dłużni, uważając że przewodnicy oglądają góry głównie z okien autokarów, a poza tym zależy im przede wszystkim na pieniądzach za oprowadzanie wycieczek, podczas gdy przodownicy to działacze społeczni, a zatem bardziej wartościowi dla PTTK. Paradoks całej sytuacji polega na tym, że istnieje wcale pokaźna armia działaczy posiadających obydwa rodzaje uprawnień.

Wielu jest przewodników, którzy zdobywszy te uprawnienia, nie przestali być bynajmniej działaczami społecznymi. Do niektórych aktywistów KTG zdaje się jednak nie docierać, że przewodnicy także często oprowadzają grupy społecznie, a od przodowników różni ich głównie wygląd blachy i legitymacji. Śmiem twierdzić, że to dzięki

tym właśnie przewodnikom, dla których uprawnienia nie są jedynie możliwością zarobkowania, zadowolimy się, że przewodnictwo w PTTK zupełnie nie załamało.

W obu środowiskach nie dostrzega się wspólnych zagrożeń ani możliwości współdziałania. Klasyycznym przykładem mogą być negocjacje z parkami narodowymi w sprawie zasad oprowadzania wycieczek po ich terenie. W rozmowach tych i przodownikom, i przewodnikom PTTK w zasadzie chodzi o to samo, a działają oddzielnie, traktując się wzajemnie jak konkurencja. Dyrekcje parków nie bardzo to rozumieją, bo w końcu nie mają obowiązku orientować się w strukturze naszego Towarzystwa i jego wewnętrznych przepisach. Dochodzą więc do wniosku, że PTTK nie jest w stanie dogadać się we własnym gronie. Wygrywają na tym właśnie przewodnicy nastawieni czysto zarobkowo (sami o sobie mówiący „przewodnicy zawodowi” albo „profesjonalni”), którzy opuścili PTTK lub nie bardzo się do niego z Towarzystwem przyznają. Przykład tego mamy w Karkonoszach (choć przodownicy też wynegocjowali tam korzystne dla siebie rozwiązanie). Uważam, że w interesie turystów górskich zrzeszonych w PTTK jest ścisła współpraca wszystkich jednostek zainteresowanych górami. Nie chodzi tu zresztą tylko o obronę wspólnych interesów. Inne możliwości wspólnego działania przewodników z przodownikami to szeroko pojęte szkolenie. Oba środowiska się wzajemnie przenikają, programy szkoleniowe mają wiele punktów wspólnych, co szkodzi więc współpracować ze sobą?

Sugestie ścisłej współpracy nie muszą oznaczać całkowitego ujednoczenia uprawnień. Uważam, że powinny one pozostać oddzielne, tak samo, jak nie przekonują mnie argumenty zwolenników przemiana-

nowania przodowników turystyki górskiej na przewodników GOT. Jeżeli w tej chwili nie wszyscy rozróżniają te uprawnienia, to po wprowadzeniu proponowanej zmiany byłoby jeszcze gorzej. Poza tym jestem pewien, że w żadnym stopniu nie poprawi to kondycji tego środowiska. Przecież to nie nazwa uprawnień jest powodem niedostatku młodej kadry. Jeżeli komuś słowo przodownik się źle kojarzy, to na pewno nie młodemu pokoleniu, które lat pięćdziesiątych już nie pamięta. Poza tym nie pierwsze to i nie ostatnie słowo budzące u niektórych negatywne skojarzenia (ostatnio np. profesor zakwestionował zupełnie prawidłowo użyte przeze mnie w pracy magisterskiej słowo lustracja, które jeszcze dwa lata temu nie zrobiłoby na nikim żadnego wrażenia). Gdyby jednak wyrzucić ze słownika wszystkie wyrazy, które były w przeszłości nadużywane, wydatnie byśmy zubożyli polszczyznę. Nie szukajmy problemów zastępczych. Jeżeli chcemy, by przybywało nam przodowniczej młodzieży, musimy postarać się o to, żeby PTTK było atrakcyjne, a turyści, którzy się z Towarzystwem zetknęli (choćby przychodząc po potwierdzenie punktów na GOT), chcieli w nim pozostać.

Jak widać, przed turystyką górską i PTTK stoją problemy, od rozwiązania których być może zależy dalsze miejsce naszego Towarzystwa w górach i w ogóle w polskiej turystyce. Warto chyba spróbować wybiec myślą w przyszłość i zastanowić się, co robić, by organizacja o 120-letniej tradycji, która wychowała wiele pokoleń turystów, w dalszym ciągu spełniała swą pozytywną rolę. Myślę, że jest to dobre miejsce na dyskusję, zwłaszcza młodzieży, która wszak będzie decydować o przyszłym kształcie PTTK.

Jacek Potocki

KRAKOWSKIE PLENUM ZG PTTK

Na ogół nie zaprzęmy uwagi naszych Czytelników informacjami organizacyjnymi PTTK, bo nie wszyscy są tym zainteresowani. Jednakże tym razem warto odnotować kilka spraw, wiążących się z plenarnym posiedzeniem ZG PTTK, jakie odbyło się 23-24 października br. w Krakowie. Przy okazji wyjaśni się kilka pytań, powtarzających się w listach do redakcji. Zaczniemy jednak od najprzyjemniejszego momentu. Oto grupa działaczy krakowskich z rąk przewodniczącego Urzędu Kultury Fizycznej i Turystyki Marka Paszuchy otrzymała odznaczenia, nadane przez Prezydenta RP. Tak tedy Srebrny Krzyż Zasługi wręczono Jadwidzie Korzeniowskiej, Elżbiecie Łapińskiej i wiceprezesowi Towarzystwa Januszowi Zdebowskiemu. Brązowy Krzyż Zasługi otrzymali Andrzej Mikuś, Romualda Sosnowska i Andrzej Tereszowski. Nagrody II stopnia Przewodniczącego UKFIT przypadły Michałowi Sławie Neymanowi i Eugeniuszowi Kuśmierzowi. Ponadto wręczono listy gratulacyjne tegoż Przewodniczącego oraz złote i srebrne odznaki „Zasłużony Działacz Turystyki”, w tym znanemu przewodnikowi i krajoznawcy sudeckiemu, członkowi GSK, Zygmuntovi Sarneckiemu z Kamiennej Góry. Serdecznie wszystkim gratulujemy!

Posiedzenie było bardzo pracowite, ale wspomnijmy tylko niektóre z poruszonych zagadnień, niekoniecznie w porządku obrad. Jeśli chodzi o dobrowolną składkę na rzecz wspomnienia Towarzystwa, to odzew był bardzo niski. Wpłynęło grubo poniżej 10 mln zł (przypomnijmy – na ostatnim Walnym Zjeździe ogłoszono apele o dobrowolne wpłaty po 100 tys. zł). Składka członkowska na 1994 r. pozostała w wymiarze podstawowym bez zmian: 30 tys. zł dla dorosłych i 15 tys. zł dla młodszych członków PTTK. Podjęto uchwałę o możliwości przywrócenia w przyszłym roku stażu członkowskiego pod warunkiem uprzedniego opłacenia składki za 1993 i 1994 r. Równocześnie specjalną uchwałą wzięto pod ochronę nazwę i znak Towarzystwa, co w warunkach konkurencji na rynku i sygnalizowanych kilku już nadużyć stało się niezbędne. Otóż, jak widać, te symbole są jednak w „cenie” wbrew obiegowym opiniom. Wielu klientów właśnie nimi kieruje się przy wyborze przykładowo biura podróży. Trzeba dbać o firmę – ale też i poziom usług! Co do schroniska na Poloninie Wetlińskiej, to nie ma mowy o oddawaniu jakiegokolwiek obiektu z listy schroniskowej, a wystąpienie dyrekcji BPN oceniono jako co najmniej niewłaściwe. Faktem jest, że zachodzi konieczność

uporządkowania otoczenia i dostosowania eksploatacji do wymogów ochrony środowiska. W tym celu w listopadzie uruchomiono wtransportowany wcześniej bioblok. Uregulowanie tytułu własności jest konieczne i są do tego bardzo mocne podstawy, tak że nie należy się, według wiceprezesa Edwarda Kudelskiego, niepokoić o stratę obiektu. Czyni się intensywne starania o sformalizowanie tej sytuacji, czyli pozyskanie aktu notarialnego na grunt i budynek.

Dużo dyskutowano o spółkach i zbliżeniu się do końca przemian w jednostkach gospodarczych spod nadzoru ZG PTTK. Do końca br. zlikwidowaniu mają ulec ZRB Olsztyn oraz OZGT-y w Poznaniu, Wałbrzychu, Sandomierzu i Sopocie. Od 1 stycznia w formie spółek działaczą będą OZGT-y w Lublinie i Olsztynie. Na swoją kolej czekają Wydawnictwo: „Kraj”, ZWZ Zamość i OZGT Kraków.

I na koniec optymistyczna wiadomość. Pod względem finansowym Towarzystwo (w sensie jego „centrum”) ma prawdopodobnie za sobą najgorsze i choć do sytuacji komfortowej jest jeszcze bardzo daleko, to nie grozi mu likwidacja z przyczyn ekonomicznych. To bardzo ważne! Jeśli tylko ogólna sytuacja gospodarcza w kraju nie będzie się pogarszać, to damy sobie radę.

Krzysztof R. Mazurski

A było to tak. Dwa lata temu, kiedy wiatr zdemolował nam namiot podczas sylwestrowo-noworocznej nocy, powziąłem decyzję o rewanżu. Spędziliśmy tamtą noc na szczycie Wołowca. Przyniosła ona wiele doświadczeń, które zaowocowały podczas kolejnych zimowych biwaków. Doświadczenia te kazały zrobić coś, by namiot był odporniejszy na silny wiatr. W praktyce oznaczało to dorobienie dodatkowych odciągów. Należało też staranniej przygotować platformę pod namiot, nie lenić się,

grań w rejonie Przełęczy Starorobociańskiej, na wysokości około 1940 m. Kiedy wybraliśmy miejsce pod namiot, kilkanaście metrów obok kończyli zakładanie biwaku nasi sąsiedzi – trójka Słowaków. Teresę poczęstowali herbatą, my nie „załapaliśmy się”, bowiem stwierdzili, że nam i tak jest ciepło. Właśnie ryliśmy w śniegu platformę pod namiot, a jest to praca rzeczywiście rozgrzewająca.

Wkrótce i nasz namiot stanął w upatrzonym miejscu, solidnie umocowany i

Lipowska i Rysianka, masyw Piłska, pasmo babiogórskie, masyw Polic, a dalej Gorce ze znakomicie widocznym Turbaczem i Długą Halą, Lubań i Beskid Sądecki. U podnóża tych gór, na wysokości ok. 1000 m, zalegało morze chmur. Owe widoki utrwalił nam na zdjęciach.

Po zagospodarowaniu wnętrza namiotu ruszyły kuchenki gazowe i miłe ciepło wypełniło naszą chatkę-szmatkę. Po posiłku napełniliśmy termosy herbatą. Przydała się rano, kiedy nie chce się nawet ruszyć ręką, a co dopiero wychodzić z ciepłutkiego śpiwora. Wtedy wystarczy sięgnąć po termos, by po chwili ciepły napój pobudził do aktywności.

Noc minęła dość spokojnie i oczekiwaliśmy pierwszych promieni słońca, które miały nas dobudzić, ale nic z tego. Dookoła było szaro. Adam wychylił się z namiotu i stwierdził, że siedzimy w chmurze. Wiatr wzmógł się, w powietrzu fruwały drobinki śniegu. Dłuższe rozpoznanie pozwoliło stwierdzić że nie jest to opad, tylko lekka kurniawa. Nad głową było dziwnie jasno, znaczyło to, że chmura nie jest gruba, że wyżej jest pogodnie. Tak też i było. Po śniadaniu zwinęliśmy biwak, poszerzyliśmy wnękę na namiot i złożyliśmy tam nasze plecaki jako depozyt. Plan dnia zakładał wycieczkę na lekko, na Jarząbczy Wierch. Poranna krzątanina zajęła nam sporo czasu, ale nam się nie spieszyło. Nie przyszlizmy w góry, by się ścigać. Przed nami piękna, długa grań od Kończystego do Jarząbczego. Szliśmy powoli, robiąc często przystanki na fotografowanie. Poniżej, po północnej stronie, zalegały granatowe chmury, a na ich tle, w świetlistym kręgu, widniały nasze sylwetki. To efekt Brockenu. Udało się to zjawisko sfotografować, mamy je na przeźroczu. Powoli, bacznie przyglądając się ukształtowaniu grani, weszliśmy na szczyt. Dzięki tym obserwacjom wypatrzyliśmy jeszcze

tylko trochę popracować. wkopać się w śnieżne podłoże, zbudować murek ze śniegu. Tak postępowaliśmy na następnych wyprawach. Rok temu witaliśmy Nowy Rok pod Babią Górą, potem trzydniowy pobyt w szczytowych partiach Babiej, w połowie lutego, później niezwykle udana wyprawa w Czarnohorę w późzimowych warunkach. Ostatnia wyprawa, jeszcze lepiej przygotowana, pozwoliła nam zwiedzić kawałek grani Tatr Zachodnich bez schodzenia do schronisk. Na grani byliśmy tylko trzy dni, ale były to dni niezapomniane.

Wyszliśmy ze schroniska na Chochołowskiej w trzyosobowym składzie: Teresa, Adam i ja. Mieliśmy zaopatrzenie na cztery-pięć dni i twarde postanowienie, że nic i nikt nas z grani nie przegoni. Co prawda wiedzieliśmy, że u góry wieje, bo zasięgnęliśmy języka u ludzi wracających z grani, ale „nic to”, jak mawiał Wołodyjowski. Niska temperatura zapowiadała niezłą pogodę, choć jakiś pesymista zapytany o prognozę twierdził, że będzie kiepsko. Z naszych obserwacji wynikało coś innego. Pomaszerowaliśmy więc przez Dolinę Jarząbczą do miejsca, w którym letni szlak skręca ostro na ramię wyprowadzające na Trzydniwiański. Szlak ten był już przetarty, podobnie jak wejście na grań wprost zlebem między Czubikiem a Trzydniwiańskim. My skręciliśmy na prawo, by ramieniem prowadzącym przez Przykrą Kopę, mozolnie zdobywając wysokość, wyjść na grań w rejonie Czubika. Początkowo 200 m było bardzo uciążliwe, zapadaliśmy się w głębokim śniegu przykrywającym łan kosodrzewiny. Pod Czubikiem trawers w prawo i po chwili byliśmy na grani prowadzącej na Kończysty. W chwili przerwy założyliśmy raki, bo zrobiło się twardo i ślisko. Jeszcze kawałek podejścia i wyszliśmy na Kończysty, skąd już tylko kilkadziesiąt metrów do planowanego miejsca biwaku. Zamieszkaliśmy pośrodku rowu grzbietowego rozcinającego



Przed nami Jarząbczy. Foto: Juliusz Wystouch

okopany. Główne odciągi umocowaliśmy czekanami, pozostałe przy użyciu tradycyjnych śledzi i krótkich rurek aluminiowych, które wmarzły w podłoże i trzymały znakomicie, nawet na bardzo silnym wietrze.

Godzi się wspomnieć o pogodzie i widokach, jakimi raczyliśmy się pierwszego dnia. Nad nami za dnia świeciło słońce, jak to się mówi – pełna lampa, nocą – gwiazdy i kawałek księżyca, a pod granią zalegały chmury. Powietrze było niezwykle przejrzyste, podziwialiśmy prawie całe Tatry, a także Beskidy. Jak na dłoni widoczne były

jedno świetne miejsce biwakowe. Może się kiedyś przyda? Na szczycie spędziliśmy sporo czasu. Dookoła niesamowite widoki i oczywiście długa sesja fotograficzna. Na sąsiedniej Rączkowej Czubie wypatrzyliśmy dwie sylwetki. Wydawały się niezdecydowane, jakby na coś czekały. Po półgodzinie dwaj Czeši stanęli obok nas na Jarząbczym. Okazało się że zastanawiali się, czy nie jesteśmy przypadkiem filancami, bo jak potwierdzili, turystyka zimowa jest przez TANAP zakazana i strażnicy słowaccy ścigają „niesfornych” turystów. Pogadaliśmy

JAK TO NA FORUM BYŁO...

Wielkopolski Klub Publicystów Krajoznawczych zorganizowanymi dotąd przez siebie pięcioma forami publicystów krajoznawczych zasłynął wielce, jak Polska długa i szeroka: świetna organizacja, ciekawe tematy do przemyślenia, możliwość spotkania wydawców, porywające imprezy towarzyszące i gastronomiczne. Nic dziwnego, że z roku na rok (a właściwie, co dwa lata – taki jest rytm organizacyjny) trzeba przeprowadzać coraz surowszą selekcję chętnych – ilość miejsc wielce ograniczona. Mimo to, a może właśnie dzięki temu, w Poznaniu 24 września br., spotkała się czołówka polskich pisarzy krajoznawczych i turystycznych, publicystów oraz wydawców. Wpiew wysłuchali oni wystąpień na temat publikacji o Polsce, a przeznaczonych dla cudzoziemców. Jest coraz lepiej, ale jeszcze sporo pozostaje do zrobienia. Potem ruszono w Polskę, a dokładniej – w Wielkopolskę. Aż do niedzieli włącznie zapoznawano się z okolicami Gniezna, gdzie „był nasz ród”: Trzemeszno, Strzelno, Kruszwica, Ostrów Lednicki, Gniezno. Znakomici przewodnicy, dociekliwi słuchacze. Było co oglądać i o czym dyskutować!

Duże wrażenie wywołały pięknie odrestaurowane dwory i pałacyki, choćby w Zakrzewie, gdzie ulokował swój ośrodek Wielkopolski Bank Przemysłowy, Osowiec z obiadem o nie kończącej się liście menu czy Dziekanowice. Popis przewodnictwa dawali znani autorzy: Włodzimierz Łęcki, Paweł Anders i Piotr Maluśkiewicz. Po drodze uczestnicy wymienili informacje „warsztatowe” – co kto aktualnie robi lub chciałby robić, podpytywali wydawców o szanse (wyjątko skromne), dzieliли się radami, jak samemu wydawać przewodniki. W sumie kolejna ważna impreza. Szkoda wszakże, że zabrakło nowych wydawców, którzy coraz więcej publikują drobnych, bo drobnych, ale licznych pozycji lokalnych, gdzie najczęściej ambicje edytorskie nie idą w parze z jakością merytoryczną publikacji. Trochę mało było też czasu na zajęcia warsztatowe, a przecież to one są głównym motywem takich spotkań. Bo imprez dodatkowych było wystarczająco dużo, aż echo się niesło nad jeziorem przy Janikowie Małym. Zobligowany wszelako przez współtowarzyszy autor w toaście życzył organizatorom, by dożywotnio przygotowywali te spotkania. Zostało to poparte gorącą owacją. Dla uporządkowania sytuacji zdecydowano się rozwiązać Klub Autorów Literatury Krajoznawczej i Turystycznej, któremu patronował ZG PTTK i Stowarzyszenie Autorów Polskich. To drugie *de facto* przestało działać, więc po co utrzymywać fikcję. Ale uczestnicy chcą zachowania jakiejś więzi. Ma nad tym pomyśleć WKPK. Może przygarnie autorów z całej Polski, w końcu też „wielkiej”?

K.R.M.



Na grani Jarząbczego, Kończystej. Foto: Juliusz Wystouch

sobie trochę i życząc wzajemnie dobrej drogi rozeszliśmy się. Oni poszli dalej granią w kierunku Wołowca, my ruszyliśmy z powrotem na biwak. Z grani widać było, jak co chwilę chmury przewalały się przez Starorobociańską Przełęcz, a silny wiatr podrywał drobinki śniegu, tworząc na grani pióropusze.

Tego dnia nie spotkaliśmy już nikogo. Znowu ustawiliśmy namiot, a że wiatr robił się coraz silniejszy, zbudowaliśmy dookoła murek ze śnieżnych bloczków wycinanych czekanami ze zmrożonego nawisu. Niezłe chronił on namiot nocą, kiedy wiatr atakował zaciekle naszą chatkę-szmatkę. Była to noc sylwestrowa. Po kolacji ułożyliśmy się w śpiworach, by obudzić przed północą. Z niemałym trudem udało się otworzyć butelkę szampana, który postawiony w kącie namiotu zamarzył i wcale nie miał zamiaru wystrzelić. W końcu udało się. Złożyliśmy sobie noworoczne życzenia, wypiliśmy to, co nadawało się do picia, a reszta zawartości butelki musiała poczekać na zejście do schroniska, by tam rozmarznąć!

Obudziliśmy się około siódmej, bo spało się całkiem niezłe mimo wiatru, który próbował nas zniechęcić do spokojnego snu, a zachęcić do czuwania. Termometr zawieszony na odciaгу wskazywał -16° , ale

czyste niebo zachęcało do wyczołgania się ze śpiworów. Nastąpiły więc rutynowe czynności. Śniadanie, napełnianie termosów i likwidacja biwaku. Znowu zostawiliśmy plecaki na naszej platformie i poszliśmy na Starorobociański. Warto było wyjść na ten szczyt. Wspaniale prezentowała się z niego główna grań Tatr Zachodnich, granie boczne i Tatry Wysokie od Koszystej do Krywania. Znowu seria zdjęć i powrót do plecaków. Włożyliśmy je, obejrzeliliśmy dokładnie miejsce naszego biwaku, czy coś nie zostało, zebraliśmy śmieci i ruszyliśmy w powrotną drogę przez Czubik i Dolinę Jarząbczą do Chochołowskiej. Po południu byliśmy już w schronisku.

Następnego dnia poszliśmy jeszcze na Wołowiec. Wejście było bardzo uciążliwe z powodu bardzo silnego, porywistego wiatru, co przy mrozie -18° C nie należy do największych przyjemności. Zużyliśmy tego dnia sporo wazeliny, smarując twarze, zaś krem, który miał być tłusty, zamarzył po niedługim czasie.

Jeszcze tego samego dnia wracaliśmy do Zakopanego, nie przeczuwając, jakie niespodzianki przyszykowała, dla chcących wyjechać z tego miasta, nasza kolej. Ale to już całkiem inna historia.

Juliusz Wystouch

Podziękowanie

przekazujemy tym wszystkim, którzy w swoich listach pamiętali o naszym skromnym jubileuszu pięćdziesiątego numeru, składając nam gratulacje i życzenia pomyślnej dalszej pracy. Było nam bardzo miło, ale też doskonale wiemy, że bez współpracy coraz szerszego grona autorów nie byłoby to możliwe. Oby rozwijała się ona jak najlepiej!

Redakcja

Szanowny Panie Redaktorze

Dotyczy artykułu A. Felkle „Turysta wciąż intruzem” zamieszczonego w 10 numerze Waszego Pisma. Wcześniejsze zamknięcie Muzeum w dniu 24 lipca tego roku, jak tłumaczyła pracownica pełniąca w tym dniu dyżur, wynikało z braku w soboty autobusu, którym mogłaby wrócić o 14⁰⁰ do domu. Za ten incydent przepraszamy turystów.

Kierownik Oddziału Michał Heller

Przepraszamy

panią Ewę Gnacik, autorkę reportażu „Po prostu Biała Góra” (nr 9/93), za przekreślenie w trakcie druku jej nazwiska. Mamy nadzieję, że nie spowoduje to ograniczenia chęci współpracy z nami.

Jednocześnie jeszcze raz prosimy wszystkich autorów o czytelne podpisywanie swoich prac oraz adresów.

Redakcja

No i zaświeciło „słońce nad Krzemieńcem”. Na ten graniczny, szczególnie szczyt można już chodzić na skutek korekt szlaku granicznego. A więc w Bieszczadach postęp, ale czy tylko? Po długiej nieobecności w tych górach odwiedziłem je, co widziałem i czego doświadczyłem, postaram się opisać.

Dzień pierwszy. Przyjeżdżamy po

przeżyliśmy tego wieczoru. Łomot z głośników był tak potężny, że po prostu rozsadało głowę. Podjąłem próbę rozmowy z prowadzącym dyskotekę, ale równie dobrze mógłbym gadać do startującego promu „Columbia”. Moje wysiłki młody człowiek skomentował potem, że widział jakiegoś faceta z namiotu machającego rękami. Koniec końców, poszedłem do bacówki, by zapytać

szczyt beczelności! O ile mi wiadomo, to wszyscy goście schroniska mogą korzystać na równych prawach z jego pomieszczeń i urządzeń a jeśli ktoś może mieć pierwszeństwo, to członkowie PTTK, bo są w nim u siebie. W tym przypadku turyści okazali się intruzami. Zachowanie obozowiczów było w ogóle takie, jakby wynajęli sobie bacówkę: w świetlicy-jadalni tłok i gwar, niektórzy

BIESZCZADZKIE REALIA – LATO 93 (1)

Nad Krzemieńcem słońce, a gdzie indziej...?

południu do Cisnej. Jesteśmy we dwoje. Od razu miłe zaskoczenie. Koło przystanku PKS sklep i to otwarty, a w nim wszystko, co można zjeść. Fajnie, myślę sobie, bo miałem jeszcze w oczach obraz gromady turystów błagających sprzedawczynię o sprzedaż choćby chleba, a było to przed laty w Ustrzykach Górnych. A więc przynajmniej z zaopatrzeniem nie będzie kłopotów. Tak też i było. Zaplanowaliśmy noclegi w namiocie przy schroniskach lub na wyznaczonych polach namiotowych. Poszliśmy do bacówki pod Honem, gdzie nasz namiot dołączył do kilku już stojących. Uwagę naszą absorbował ruch i gwar wokół schroniska, nie zdawaliśmy jednak sobie sprawy, jakie niespodzianki czekają nas wieczorem. Czuliśmy jednak, że duża ilość młodzieży płaczącej się wokół schroniska nie wróży nic dobrego. Pierwsze kłopoty zaczęły się przy wieczornej toalecie. Umywalnie oblegane były przez młodzież dokładnie ignorującą pozostałych mieszkańców bacówki. Dopiero o godz. 20 rozpoczęły się właściwe „atrakcje”. Nagle, pośród i tak niczym nie skrzepowanych głosów młodych ludzi, ryknęły dwa głośniki stojące przy bacówce, wydając z siebie łomot heavy-metalowej muzyki. Tak jest! W górach, przy schronisku, kilka metrów od naszych namiotów, wieczorem, kiedy zmęczeni turyści chcą w ciszy i spokoju odpocząć! Na moje pytanie, co to wszystko znaczy, otrzymałem odpowiedź, że to dyskoteka i że będzie jeszcze głośniejsze, po czym dzielny operator wzmacniacza, co obiecał, to zrobił. Jakikolwiek odpoczynek stał się niemożliwy. Hałas był taki, że siedząc obok siebie w namiocie musieliśmy krzyczeć, by się w ogóle porozumieć. W ciągu ponad dwudziestu lat chodzenia po górach nie spotkałem się z czymś takim, czego nawet nie umiem nazwać, bo słowo chamstwo wydaje się niewinne i delikatne. Były rozmaite dyskoteki i tańce na Turbacz, próby nocnych rozrób na Przehybie (szybko zlikwidowane dzięki stanowczej postawie kierownika schroniska), czy popijawy górniczych obozów na Markowych, ale to wszystko było niczym wobec tego, co

kierowniczkę, co to wszystko znaczy, na co pozwala? No cóż. W bacówce prawie nie było słychać łomotu głośników i personel schroniska nie rozumiał, o co mi chodzi. Obawiam się, że nie rozumie również, jakim obiektem jest bacówka – schronisko turystyki kwalifikowanej. Kierowniczka obiecała tylko, że dyskoteka skończy się o godz. 22. Oznajmiłem, że coś takiego w małym schronisku górskim w ogóle nie powinno mieć miejsca, lecz poglądów z panią kierowniczką nie uzgodniliśmy. Dyskoteka skończyła się o godz. 22.15, ale spokoju nie było długo, bo jej uczestnicy przeżywali jeszcze imprezę, tocząc głośne rozmowy przerywane wybuchami wesołości.

Dzień drugi. Poranne próby umycia się okazały się bezowocne. Teresę panią z obozu wyprosiły z umywalni, a kiedy ja poszedłem się myć, okupowały również męską umywalnię, blokując drzwi. Takie są skutki przebywania w schronisku turystyki kwalifikowanej 50-osobowego obozu (kolonii?, wczasów?), nie mającego nic wspólnego z turystyką w ogóle, nie mówiąc o górskiej turystyce kwalifikowanej. Jedna z osób kierujących obozem oświadczyła, że *stano zapłaciły za ciepłą wodę i mają pierwszeństwo w korzystaniu z umywalni*. To jest

mieli tam „swoje” miejsca i stoły, żeby wejść do budynku trzeba było przeciskać się przez tłumek znudzonych obozowiczów stojących lub siedzących na schodach, ciągły gwar i ignorowanie obecności innych osób. Opiekunowie nie przejmowali się tym, a raczej uznawali takie zachowanie za normalne. Tak oni, jak i ich podopieczni, traktowali bacówkę jak normalny dom wczasowy, a personel schroniska grzecznie im usługiwał.

Wybudowano bacówkę również za nasze PTTK-owskie pieniądze, ale my turyści nie możemy z niej normalnie korzystać. W środku sezonu pakuje się tam jakiś obóz, chociaż w tym czasie frekwencja jest zapewniona. Przypadek sprawił, że toruński klub „Karpaty” starał się o rezerwację noclegów w bacówce pod Honem. Nie otrzymał jej. Turystów skierowano do hotelu leśnictwa, a w bacówce panoszył się obóz. Czy to jest normalne? Czy liczy się tylko forsa, którą można zarobić przyjmując dużą grupę przypadkowych ludzi, czy przeznaczenie bacówki nie ma już żadnego znaczenia, nie ma znaczenia, że jest naszą PTTK-owską własnością????? Powtarzam więc, a słowa te przekazuję do osób kierujących sprawami schronisk, będących wciąż n a s z ą własnością. W małych schroniskach nie wolno w



środku sezonu lokować żadnych dużych grup, interes ekonomiczny nie może przesłaniać funkcji tych obiektów, mamy to zagwarantowane w regulaminach obiektów i w w prawach członków Towarzystwa, prawo do swobodnego korzystania ze schronisk jest naszym podstawowym prawem!

Na szczęście „nie samą baczówką człowiek żyje”. Niżej, w Cisnej całkiem normalnie, wszystko działa jak trzeba. Sklepy otwarte do późna, jest gdzie zjeść i wypić. Co ciekawe, mimo dużych ilości piwa, wypijanych przez turystyczną brać, nie widzieliśmy w ciągu dziesięciu dni pijanego turysty, a mocno podchmieleni osobnicy rekrutowali się spośród ludności miejscowej i środowiska wczasowo-myśliwskiego.

A co w górach? Poszliśmy na Małe Jasło i Jasło. Szliśmy długo, bo marsz utrudniały skutecznie maliny, które w takich ilościach spotkaliśmy po raz pierwszy. Wspomnienia nocnych koszmarów nieco się zatarty, bo zajęliśmy się malinami, a potem widokami z Jasła. Wróciliśmy do Cisnej przez Roztoki, z niepokojem myśląc o czekającej nas drugiej nocy przy baczówce. Minęła jednak spokojnie. Obozowicze przenieśli się kilkadziesiąt metrów niżej na ognisko, a ich możliwości głosowe na szczęście nie dorównywały stuwatowym głośnikom.

Dzień trzeci. Zwijamy namiot i z postanowieniem, że nigdy więcej tu nie przyjdziemy, opuszczamy baczówkę. Z tym „nigdy więcej”, to może przesada, ale w przypadku dyskotekowej recydywy za siebie nie ręczę.

Pojechaliśmy do Kalnicy, skąd poszliśmy na Jaworzec. Pierwsze pytanie skierowane do pani w okienku dotyczyło sanitarnych i wodnych możliwości baczówki. Po cichu liczyłem, że się coś zmieniło na lepsze. Pani wskazała na sławojkę stojącą poniżej baczówki, tłumacząc, że nie ma wody i proponując mycie w strumieniu. Oho, znowu kiepsko, a wieczorem będzie pewnie totalne zaciemnienie. Woda jednak pojawiła się w umywalni i w kuchni turystycznej, ale wieczorem baczówka wyglądała jak wymarła

lub opanowana przez duchy, a to za sprawą poświęty, jaką dawały świeczki zapalone w kilku pokojach. Następnego wieczoru ktoś zlitował się i postawił gazową lampę w jadalni, by turyści mogli korzystać z tego pomieszczenia.

Dzień czwarty. Początkowo wybieraliśmy się na krótki spacer, doszliśmy jednak do Szmaragdowego Jeziora. Ciekawe to miejsce i spędziliśmy tam sporo czasu. Po drodze mieliśmy lekcję poglądową o ochronie przyrody.

Jak wiemy, na drodze Kalenica-Terka postawiono, już za zabudowaniami, znaki zakazu wjazdu. I bardzo słusznie. W końcu nie wszędzie trzeba dojeżdżać samochodami. Myślę, że chodziło o to, by nie hałasowały silniki i nie truły przyrody spalinami. Idea godna poparcia. Przypuszczam, że zakaz ten nie obowiązuje pojazdów służb leśnych, strażackich i innych tzw. uprzywilejowanych, chociaż pod znakami nie widziałem odpowiedniej tabliczki z tą informacją. A zatem nie wolno tam jeździć, by przyroda miała spokój. Nie jestem przekonany, że tak jest, a przeciwnie, z tego, co widzieliśmy wynika, że jest dokładnie odwrotnie, i to za sprawą pracowników parku narodowego. Kiedy szliśmy drogą w kierunku jeziora usłyszeliśmy warkot silnika. Po chwili zza wzniesienia wyskoczyła Łada-Niwa z emblematem BPN, a za nią FIAT-Panda z niemieckimi tablicami rejestracyjnymi. Szybkość około 60 km/godz., hałas, spaliny i potworne kłęby kurzu. Samochód leśników wyraźnie pilotował Niemca. Żadnemu z kierowców nie przyszło do głowy, by choć trochę zwolnić na widok pieszych idących skrajem drogi. A co tam! Przecież w samochodzie nie czuje się spalin i kurzu. A piesi? Kto by się nimi przejmował! Przecież gość z Niemiec zwiedza nasze piękne Bieszczady, trzeba więc oczyścić drogę z jakichś łążęgów. A kłęby kurzu, hałas i spaliny? Przyroda jakoś sobie z tym poradzi. Oto filozofia ochrony przyrody wyznawana przez pracowników Parku. Takie wnioski nasuwają się po tym szczególnym spotkaniu.

No, chyba że to wszystko nam się przywidziało. Skoro trzeba jednak „wodzić” zagranicznych gości po Bieszczadach, to czy trzeba to robić w taki sposób? W regulaminie BPN czytamy, że obowiązuje przestrzeganie ciszy – tak, ale tylko zwiedzających, czytają: turystów. Pracownicy Parku zachowują się tak, jak kolejarze na dworcach PKP, gdzie obowiązuje zakaz palenia tytoniu – palą, bo zakaz obowiązuje pasażerów.

By uniknąć następnego podobnego spotkania, zesłaliśmy nad Wetlinę, przeprowadziliśmy się na drugi brzeg i powędrowaliśmy w kierunku przełęczy Szczycisko, i dalej mniej uczęszczaną drogą do mostu na Wetlinie, i do baczówki.

Dzień piąty. Idziemy z Jaworca na Smerek, skąd przez Przeł. Orłowicza do Wetliny. Słoneczko, piękna pogoda. Początkowo marsz dosyć uciążliwy, ale po wyjściu na podszczytową połoninę Smereka mijają dolegliwości. Jest rześko, wiatr przyjemnie chłodzi, a widoki motywują do wysiłku. Boczna grańką, ścieżką zaczynającą się przed przełęczą, wychodzimy na szczyt. Główną granią ciągną turyści, na szczycie też niezły tłumek. Zostajemy na wierzchołku około pół godziny, po czym schodzimy przez przełęcz do Wetliny. A w Wetlinie, w Domu Wycieczkowym u Piotra, tak jak zawsze. Miłe powitanie, krótka, sympatyczna rozmowa. Mamy wrażenie, że Piotr zna nas od dawna, że zna każdego turystę. Lokujemy się na polu namiotowym. Podziwiam pracę, jaką wykonano. Kiedy byłem tam ostatni raz parę lat temu, działał pierwszy segment budowanego pawilonu sanitarnego, ten z kuchnią turystyczną. Dziś pawilon z powodzeniem obsługuje setki turystów mieszkających w DW i na polu namiotowym. Wszędzie czysto i porządkie, znać rękę gospodarza. W sieni DW kąci prasowy: „Poznaj swój kraj”, „Gazeta Górska” i „Na Szlaku”. Czujemy się jak u siebie. Dobrze, że jest takie miejsce w Bieszczadach, dobrze, że jest taki GOSPODARZ.

c.d.n.

Juliusz Wyslouch

Propozycja dla narciarzy

W majowym numerze „Na Szlaku” znalazła się notatka o Krajowej Naradzie Aktywności Narciarskiej PTTK. Jednym z wniosków tej narady było rozwijanie narciarstwa biegowego i śladowego jako najbardziej odpowiedniego dla turystyki narciarskiej na nizinnych terenach Polski. Jako członek Prezydium Komisji Turystyki Narciarskiej ZG PTTK, odpowiadający za ten rodzaj narciarstwa, proszę o umieszczenie notatki o proponowanych przez Komisję imprezach na nartach biegowych i śladowych w sezonie 1993/94:

1. **Rajd Narciarski po Jurze** 14-16 stycznia w Dolinkach Podkrakowskich. Organizator: Klub Turystyczny „Ostańce” PTTK, Zawiercie, ul. Sikorskiego 10.

2. **Narciarskie Zawody na Orientację** 22 stycznia – Wyżyna Krakowsko-Częstochowska. Organizator j.w.

3. **Wędrówka narciarska w Beskidzie**

Niskim 29 stycznia – 5 lutego w oparciu o bazę w Radocynie. Organizator j.w.

4. **Wędrówki Północy** – Jubileuszowy XXV Rajd Narciarski po Suwalszczyźnie – najbardziej znany rajd nizinny, którego współorganizatorem jest KTN ZG PTTK, a głównym organizatorem Oddział PTTK w Suwałkach, ul. Kościuszki 37. Organizatorzy proponują sześć tras (po 50 osób):

I ze startem z Olecka 5 lutego przez Goldap, Puszcę Romincką, Rutkę Tartak do Suwałk,

II rozpoczynającą się 7 lutego w Sejnach i penetrującą okolice tej miejscowości i przez Wigry osiagającą metę,

III z Goldapi od 7 lutego przez Blaskowiznę,

IV startującą 8 lutego w Augustowie i prowadzącą przez Dolinę Biebrzy i Puszcę Augustowską,

V mającą początek 10 lutego w Olecku,

VI zamknięta – dla „Ursusa”.

Wpisowe zależne od trasy 40-150 tys. zł (w tym noclegi). Zgłoszenia do 25 stycznia.

5. **Sudecki Rajd Narciarski** „Góry Wałbrzyskie”, organizowany przez Klub Turystyki Narciarskiej „Psie Pole”, Wrocław, Rynek-Ratusz 11-12, 16-20 lutego.

Ponadto Zarząd Oddziału Wojewódzkiego PTSM w Słupsku, ul. Jaracza 18, a oferuje (na zamówienie) uruchomienie obozów wędrownych, narciarskich w obrębie ferii zimowych na Wysoczyźnie Bytowskiej w oparciu o schroniska młodzieżowe w Sierznie, Tuchomiach i Sominach.

Andrzej Stróżecki



Zamkowe opowieści (22)

W latach 1618–1648 toczyła się w Europie wielka wojna trzydziestoletnia. Podobnie, jak dla większości centralnych dzielnic naszego kontynentu, przyniosła ona także ziemi śląskiej trudne wprost do opisania nieszczęścia. Przemierzały i deptały ją na przemian wojska cesarskie, szwedzkie i saskie, lisowczycy i mansfeldczycy.

nięte szyki. Niestety, w dalszym ciągu postępowały za nimi wojska Wallensteina. Toteż ziemia śląska doświadczyła wówczas szczególnie wielu różnorodnych nieszczęść od obu tych armii.

W trakcie jednego z pochodów bojowych na Górny Śląsk mansfeldczycy stanęli pod Gliwicami. Na szczęście, mieszczanie gliwicy zdołali na czas spalić

Bohaterska obrona

Graf Peter Ernest II von Mansfeld (1580–1626) był jednym z wodzów niemieckich wojsk protestanckich w początkowym okresie wojny. Jego żołnierze słynęli między innymi z okrutnej grabieży ludności cywilnej – zarówno obcej, jak i własnej, chociaż i pozostałe armie bodaj wcale im nie ustępowały, zwłaszcza jeśli idzie o podkomendnych głównego wodza wojsk cesarskich, głośnego Albrechta Wallensteina (1583–1634).

Niejedno śląskie warowne miasto wzięto wówczas szturmem, splądrowano i puszczono z dymem, ale niejedno poddało się dobrowolnie, bez stawiania oporu. Wszystkie one doświadczyły jednak potwornych gwałtów, zniszczeń i mordów. Jeszcze długo potem straszliwy ten okres dziejowy pozostawał w pamięci ludu jako tak zwane czasy szwedzkie. Stąd też w ludowej tradycji niemal wszystko co złe przypisywano zwykle Szwedom. Na ich konto szły nieczne wyczyny i zbrodnie innych ówczesnych żołdaków. Ba, nawet prastarym, średnio-wiecznym grodziskom, których pochodzenia nie umiano sobie wytłumaczyć, nadawano często miano „szwedzkich okopów” lub „szwedzkich szańców”. W ludowych opowieściach niestudnie przypisywano Szwedom także oblężenie Gliwic w 1626 roku.

A faktycznie było to tak.

W 1626 roku wojska Mansfelda zostały pobite przez siły Wallensteina przy moście na Łabie w Dessau. Wtedy pociągnęły one aż na Śląsk, aby tutaj nieco dojść do siebie, wylizać się z otrzymanych ran, zagoić blizny i uzupełnić nadszarp-

licze zabudowania znajdujących się za murami obronnymi przedmieść. Ocalał tu zaledwie masywny klasztor franciszkański. Zdążono też pozamykać bramy miejskie, a później zatarasować je grubymi kłodami i szczelnie obłożyć od środka nawozem, aby kule wrogów nie mogły ich przebić. Również furty, znajdujące się po stronie północnej i południowej, zostały dobrze zamknięte i zmyślnie zabarykadowane.

Wkrótce oblegający wystali do miasta przez południową furkę parlamentariusza, który przyniósł propozycję poddania grodu bez zbędnego przelewu krwi. Ale burmistrz w obecności tłumnie zebranych



Przebieg szlaku	Oddział znakujący	Czas przejścia (godz./min.)	Pkt do GOT	Ilość km	Suma różnicy wznies. (m)	Turystyka narciarska
Szlaki turystyczne w kolorze niebieskim c.d.:						
Wojnicz – Wielka Wieś – Panieńska Góra	Tarnów	2.15 – 2.00	10/7	7,5	126	
Tarnów – Trzemeska Góra – Tuchów	"	5.30 – 5.45	23/23	21,0	630	N
Tuchów – Brzanka – Stawiska	"	6.15 – 6.00	22/21	22,5	950	
Stawiska – Skamieniałe Miasto – Ciężkowice	"	1.15 – 1.15	5/6	3,7	190	
Ciężkowice – Bruśnik – Bukowiec – Bartkowa	"	7.00 – 7.00	24/23	21,5	790	N
Gromnik – Golanka – Nosalowa	"	2.00 – 2.00	8/7	6,5	145	N
Rychwałd – Łowczów – Plotrkowice	"	3.00 – 3.30	13/13	11,0	405	N
Ryglice – Pasia	"	2.30 – 2.00	8/5	7,0	280	
Szlaki turystyczne w kolorze zielonym:						
Witowice – Rożnów	Nowy Sącz	1.15 – 1.15	5/5	3,8	328	
Gromnik – Sucha Góra – Styr	Tarnów	4.45 – 5.00	22/21	15,0	425	
Styr – Mogiła – Czchów	"	4.45 – 5.00	17/17	12,8	610	
Tarnów – Błonie – Lubinka	"	4.30 – 4.30	18/16	14,5	410	N
Lubinka – Wał – Gromnik	"	3.30 – 3.45	13/14	12,0	510	N
Szałowa – Jankowa – Bobowa	"	3.00 – 3.00	11/10	10,8	220	N
Bobowa – Falkowa – Bukowiec – Jamna	"	4.15 – 3.45	15/13	13,4	290	N
Skrzyszów – Góra św. Marcina – Tarnowiec	"	2.15 – 2.15	10/10	7,5	275	
Lipnica Wielka – Liwocz	"	2.15 – 1.45	8/6	6,0	226	
Szlaki turystyczne w kolorze żółtym:						
Tarnów – Słona Góra – Pleśna	Tarnów	4.45 – 5.00	18/18	15,5	460	N
Pleśna – Wał – Siemiechów	"	4.00 – 4.00	18/17	11,0	600	N

na rynku mieszczan, z dziarskimi minami i w pełnym uzbrojeniu, oświadczył mu, że gliwiczanie posiadają odpowiednio duże zapasy żywności i będą bronić miasta do ostatniego tchu. A pomoże im w tym – o czym święcie są przekonani – Matka Boska.

Zresztą wprawne oczy idącego na ratusz i z powrotem posła zdołały dostrzec niemal we wszystkich bramach i sieniach domów po kilka beczek wypełnionych prosem aż po brzegi. Tymczasem była to mistyfikacja, gdyż mieszczki gliwickie użyły prostego, ale dobrze przemyślanego podstępu. Poodwracały bowiem puste beczki do kapusty do góry dnem, które szczelnie przysypały prosem. Tego, oczywiście, mansfeldczyk już się nie domyślił.

Niedługo potem nastąpił gwałtowny szturm.

Nacierający przystawili do murów miejskich od strony południowej mnóstwem drabin, po których zaczęli hurmem wspinać się do góry. Jednakże uzbrojeni w najprzeróżniejszą broń – niekiedy po prostu w długie widły do gnoju bądź do siana – mieszczanie gliwicy mężnie stawiali czoła napastnikom. Na głowy szturmujących sypały się kamienie, leciały belki. Obok mężczyzn na murach znalazły się także dzielne gliwickie niewiasty. Zarzuciły one wspinających się po drabinach mansfeldczyków glinianymi garnkami z gotującą się jaglaną kaszą, lały na nich wrzącą wodę i smołę. Ci zaś, mocno poparzeni, ześlizgiwali się w dół z oblepionych gorącą mazią drabin. Opróżnione drabiny obrońcy szybko wciągnęli do siebie na górę. W końcu atak w tym miejscu załamał się.

Z kolei napastnicy natarli na mury od strony północnej, ale broniący się gliwiczanie zdążyli tam przebiec na czas. Mimo to sytuacja stawała się tu coraz bardziej niebezpieczna. Na szczęście, w krytycznym momencie jeden z mieszczan trafił z muszkietu, nabitego srebrnym guzikiem, dowodzącego mansfeldczykami kapitana. Ten zachwiał się i runął martwy na ziemię.

Teraz oblegający stracili chęć do dalszej walki i przzerwali szturm. Nabrali przy tym przekonania, że gliwiczanie są rzeczywiście dobrze przygotowani do długiego oblężenia. Tymczasem w obozie wśród żołnierzy zaczęto cichaczem opowiadać, że w czasie ataku nad obrońcami miasta pojawiła się na jasnym obłoku Matka Boska i przykryła ich szeroko rozpostartym wielkim płaszczem, tak że żadnego z nich nie można było trafić. I właśnie dzięki temu mieszczanom udało się odeprzeć natarcie.

Po trzech dniach namysłu żołnierze Mansfelda, którzy nie byli przygotowani do długotrwałego oblężenia, zrezygnowali z zamiaru zdobycia Gliwic i odstąpili od murów miasta.

W 1628 roku za bohaterską tę obronę, podczas której nie małą rolę odegrała jaglana kasza, cesarz łaskawie potwierdził gliwiczantom wszystkie ich przywileje i prawa, a w następnym roku nadał miastu nowy herb. Wtedy to właśnie nad dotychczasową wieżą została na nim umieszczona Panna Maria z Dzieciątkiem.

Julian Janczak

Przebieg szlaku	Oddział znakujący	Czas przejścia (godz./min.)	Pkt do GOT	Ilość km	Suma różnicy wznies. (m)	Turystyka narciarska
Szlaki turystyczne w kolorze żółtym c.d.:						
Siemiechów – Jamna – Bartkowa	Tarnów	7.00 – 6.45	27/28	22,0	810	N
Siedlińska – Nosalowa – Brzanka	"	3.30 – 3.15	15/14	10,0	340	N
Brzanka – Psia – Gilowa Góra	"	2.30 – 2.30	12/12	9,0	160	
Gilowa Góra – Liwocz	"	5.00 – 5.00	17/16	15,2	230	
Liwocz – Kolaczyce	"	2.30 – 3.00	9/12	9,8	220	
Szlaki turystyczne w kolorze czarnym:						
Lubaszowa – Polana Morgi	Tarnów	1.15 – 1.00	5/2	3,5	173	
Zakliczyn – Sucha Góra	"	2.15 – 2.00	10/8	7,6	180	
Ciężkowice – Skamieniałe Miasto	"	1.00 – 0.45	4/4	3,0	110	
Jamna – Olszowa	"	1.15 – 1.45	2/3	4,5	176	
Olszowa – Styr	"	1.15 – 1.00	5/2	3,0	140	

POGÓRZA STRYŻÓWSKO-DYNOWSKIE I PRZEMYSKIE WRAZ Z GÓRAMI SŁONNYMI

Szlaki turystyczne w kolorze czerwonym:						
Sanok – Orli Kamień – Słonny Wierch – Holuczków	Sanok	5.30 – 5.30	24/20	17,0	1150	
Holuczków – Kreców – Dobrzanka – Bircza	"	7.45 – 7.45	23/26	24,5	705	N
Bircza – Łodzinka Górna – Kopystańka	Przemysł	3.30 – 3.15	15/12	11,0	340	N
Kopystańka – Rokszyce – Helicha – Przemysł	"	5.45 – 6.00	17/21	18,0	710	N
Szlaki turystyczne w kolorze niebieskim:						
Dębica – Przelęcz nad Brzeziniami	Tarnów	5.15 – 5.00	21/19	19,1	265	N
Przel. nad Brzeziniami – Klonowa Góra – Wiśniowa	Rzeszów	5.00 – 5.00	17/19	18,5	410	N
Wiśniowa – Herby – Czarnów – Przel. nad Wysoką Strzyżowską	"	2.30 – 2.30	12/12	10,5	320	

W latach międzywojennych zaroilo się na szlakach tatrzańskich od fotografów. Bardziej dociekliwi, zwłaszcza miejscowi, pilnie śledzili i utrwalali na kliszy zarówno tradycyjne walory, jak i budzące zastanowienie „nowe”, które pojawiało się w krajobrazie, a także w góralskich obyczajach.

Wśród mistrzów kamery wyróżnili się zakopiańczycy Tadeusz i Stefan Zwolińscy, badacze i znawcy Tatr, autorzy publikacji, działacze PTT (później PTTK). Obaj robili zdjęcia na wędrownkach i przy eksploracji jaskiń, prowadzili też wytwórnię widokówek oraz księgarnię, dla której zastrzeżono prawa wszelkich wydawnictw.

Szerszy dorobek fotograficzny osiągnął z czasem Stefan Zwoliński. Jego zdjęcia były ważną częścią osobowości, dopełnieniem wędrowek, obserwacji i badań; oddawały bogactwo doznań w górach.

Fotografie Stefana Zwolińskiego mają w zasadzie klasyczne cechy dokumentu krajoznawczego. Zawierają w obrazie rzetelny autentyzm, lecz często uwypuklają swoiste, estetyczne walory. Znamstwo i umiłowanie Tatr uławiły Zwolińskiemu bezbłędną, często urokliwą rejestrację tatrzańskiej przyrody i kultury materialnej. Temat jest podporządkowany takiej kompozycji obrazu, która czyni go komunikatywnym, zrozumiałym i oddziałującym zachęcająco. Zwolińskiego interesuje wszystko, co go otacza; zgodnie z ciekawością świata dociekliwością i bystrym spojrzeniem, wszystko budzi chęć utrwalenia na zdjęciach i przekazania innym.

Fotografowali Tatry (5)

Okiem krajoznawcy

Przyjrzyjmy się bliżej tematyce tych zdjęć. Wśród fotografii krajobrazu wyróżniają się liczne panoramy, złożone niejednokrotnie z kilku części, a także charakterystyczne granie i turnie Tatr Wysokich w lecie i zimą oraz przestrzenne połacie Podtatra.

Wiele zdjęć przedstawia szczególnie stany atmosfery, zjawiska przyrodnicze, np. zwały chmur związane z halnym, morze mgieł, lawiny, obrywy skalne, wiatrołomy. Przepiękne są drzewa oszronione szadzią lub z nawisami śnieżnymi, a także szafasy pod grubymi czapami śniegu...

Inne zdjęcia wiążą się z problematyką ochrony przyrody, która do głębi interesowała Stefana Zwolińskiego, ukazują



Tatry. Widok spod Żółtej Turni na Zawrat i Mały Kozi Wierch

Pocztówka „Książki i Wiedzy”. Foto: T. i S. Zwolińscy



Tatry. Droga do Czarnego Stawu pod Kościelcem

Tatry. Droga do Czarnego Stawu pod Kościelcem. Foto: T. i S. Zwoliński. Repr.: A. Czarnowski

szatę leśną i przemiany środowiska związane z działalnością człowieka.

Wiele uwagi poświęcił Zwoliński góralczyźnie. Są więc fotografie budowli, sprzętu domowego, zdobnictwa, obrzędów, zajęć gospodarskich, pasterstwa, a wreszcie swoiste portrety typów górskich, niepowtarzalnych postaci podtatrzańskich gazdów, artystów, przewodników, owych Mrozów, Obrochtów, Rojów, Prokopów, z którymi był za pan brat.

Bogaty materiał zdjęciowy odzwierciedla obraz Zakopanego i Podhala oraz Spisza i Orawy – ich ewolucje, jakie miały miejsce w ciągu kilkudziesięciu lat na oczach Stefana Zwolińskiego. Są m.in. epizody turystyczne, sportowe, ratownictwa górskiego, schroniska i cała galeria związanych z nimi osób. Jest cała kronika wydarzeń dnia codziennego i świątecznego z lat międzywojennych, z tragicznych lat okupacji hitlerowskiej i z okresu drugiej wojny światowej, a także z dni powojennych. Ten zasób cennych zdjęć wzbogacił Zwoliński reprodukcjami fotografii i rysunków z lat dawniejszych. W ten sposób powstała bezcenna dokumentacja regionalna, która była wielokrotnie eksponowana na wystawach, częściowo publikowana w wydawnictwach, a obecnie znajduje się głównie w Muzeum Tatrzańskim w Zakopanem.

Stefan Zwoliński był niezwykle dokładnym i pracowitym fotografem. Wiele czasu poświęcał swojemu fotolaboratorium, m.in. sam produkował materiały światłoczułe, stosował różne techniki kopiowania zdjęć, konstruował teleobiektywy i rzutniki, opracował też metodę zdjęć w jaskiniach.

Adam Czarnowski

KRZYŻOWCY W GÓRACH

XIV Biesiada Pokutna Bractwa Krzyżowców PTTK, czyli spotkanie członków Ogólnopolskiego Klubu Badaczy i Miłośników Krzyży Pokutnych i Rzeźb Przydrożnych, odbyła się tym razem w górach. Punkt wypadowy mieliśmy w obchodzącej właśnie swoje siedemsetlecie gminnej wsi Żegocina w Beskidzie Wyspowym.

Głównym tematem tegorocznej imprezy były *Austriackie cmentarze wojenne z czasów I wojny światowej w okolicach Żegociny*.

Przyszedł wreszcie odpowiedni czas na zadbanie i o te cmentarze. Niektóre z nich odbudowywane są przy pomocy Austriackiego Czarnego Krzyża i innych instytucji zupełnie od podstaw.

Na pięciu wycieczkach zwiedziliśmy aż jedenaście takich cmentarzy. Ponadto było kilkanaście rzeźb św. Jana Nepomucena i św. Floriana, zabytkowe przydrożne kapliczki (które w tych okolicach są charakterystyczne, trójpoziomowe) i świątki ludowe oraz muzeum zamkowe w Nowym Wiśniczu i sakralne w klasztorze OO. Cystersów w Szczyrzycu i na plebanii w Dobrej, a także kilkanaście zabytkowych kościołów; od drewnianych, prawie zapomnianych w cieniu nowo wybudowanych (np. Skrzydłina, Dobra koło Limanowej), aż po wspaniałe nowoczesne sanktuaria (np. Limanowa, Pasierbiec).

Złożyliśmy także hołd spalonym żywcem przez okupanta, pochowanym w zbiorowej mogile kilkudziesięciu partyzantom, na pomniku których dopiero niedawno umieszczono tablicę, iż byli żołnierzami AK.

Wieczorem, jak zawsze na naszych spotkaniach, doniesienia terenowe, z odkryć i dokonanych konserwacyjnych członków bractwa, wspomnienia z poprzednich imprez

(głównie w postaci kaset wideo brata Włodzimierza Kowalskiego z Lubka oraz zdjęć) i przeżrocza, przeżrocza, przeżrocza. Najciekawszy i najobszerniejszy zestaw przedstawiła siostra Irena Szajnar z Nowego Targu, wyświetlając i komentując przez dwa wieczory barwne zdjęcia (negatywy) z Beskidu Niskiego i jego Pogórza oraz z terenu dawnego powiatu tarnowskiego i bocheńskiego. Bardzo ciekawe i dokładnie przedstawił też *Cmentarze Wojenne 1914-1915 – geneza, stan prawny i prace renowacyjne* brat Emil Boryczko z Pionek.

Impreza zgromadziła ponad 70 osób z terenu całego kraju. Najwięcej, jak zwykle, było z Dolnego Śląska ale stawili się też reprezentanci z tak odległych miejscowości, jak Słupsk, Elbląg, Suwałki i Białystok. Oprócz niestrudzonego, jak zawsze, Wielkiego Brata Andrzeja Scheera, dwolili się i troili pomagający mu stali mieszkańcy Żegociny – Andrzej i Zbigniew Ellnainowie.

Trafiliśmy na przepiękną polską jesień. Wspaniała pogoda pozwoliła nam przeżyć niezwykle zjawisko. Wracając późnym wieczorem znaleźliśmy się w głębokiej i mrocznej już dolinie. Zapadał zmierzch. Na prawo piętrzył się nad nami mroczny masyw Śnieżnicy, na horyzoncie z przodu majaczył, ledwie już widoczny, kopiec Ćwilina, na lewo widoczność ograniczała ściana wąwozu. Nagle, za kolejnym zakrętem ukazało się pławiące się w pełnym słońcu (!) zachodnie zbocze Łapienie i biegnących, na zachód od niego, pagórków. Dwie krainy, dwa światy.

Góry najpiękniejsze są jesienią.

Janina Serafin

Każdy górski łązik ma swoje ukochane kąty: szczyty, doliny, czy ustronia leśne, zwykle te, które dobrze poznał w latach młodości. One to zapadają w pamięć i wydają się najpiękniejsze. Dla mnie są takimi, leżące na wschód od doliny Popradu, pasma Beskidów i ich rozległego pogórza. Pragnę przywołać kilka epizodów z moich wędrówek, a zacznę od szczególnego przypadku.

Dom stał na skłonie doliny bystrego potoku. Przysadzisty, z głęboko nasuniętym dachem gontowym. Z daleka było widać białe, masywne mury, małe okienka, ganek na słupkach.

Opowiadano, że dom ten trwa parę już wieków, od czasów Państwa Muszyńskiego biskupów krakowskich, gdy na sąsied-

uczęszczane okolice Beskidu Sądeckiego, w mateczniki resztek karpackiej prapuszczu, w dzikie roztoki. Padały egzotyczne dla mnie nazwy szczytów: Runek, Lembarczyk, Kotylniczy Wierch, Jaworzyna. Wychwalano urokliwe widoki z kwitnących polan. Sugestywnie przywoływano spotkania z dzikami, rysiami, jeleniami na rykowiskach i tajemnice górskich zakątków. Trzask bierwion na kominku zdawał się wtórować leśnym odgłosom.

Wtedy to obudziło się we mnie owe TO górskiego łązika, powstał zaczyn przyszłych „odkrywczych” wypraw.

* * *

To, co teraz opowiem, zdarzyło się dziesięć lat później. Znowu zjechaliśmy do leśniczówki na święta Bożego Narodzenia. Znowu zebrało się doborowe, pełne humoru towarzystwo. Ja, wprawdzie już maturzysta,

byłem w tym gronie najmłodszy, ale chodziłem już sporo po górach i miałem ambicję, aby innym dorównać.

Pozostało jeszcze trzy dni do Wigilli, gdy narodził się pomysł wycieczki na najwyższy szczyt okolicy, Jaworzynę Krynicką. Zachęcała słoneczna ostatnio i bezwietrzna pogoda. Wabiły słynne, rozległe widoki i możliwość długich zjazdów narciarskich.

– Jedźcie saniami do doliny Szczawnika aż po Zebracze – mówił stryj. – Podejdziecie pod Kotylniczy Wierch, skąd polanami na Jaworzynę. Zjedziecie na Złockie i na Zazamcze. Nie spiesząc się, po ośmiu godzinach będziecie z powrotem. Władek niech prowadzi. A sanie zaraz niech wracają, bo pojedę na stację po ciotkę.

Wybieraliśmy się w piątek: Władek, Tadeusz, dwóch studentów i ja. Szykowaliśmy niezbędny ekwipunek, zapasy żywności, termosy. Nasi leśnicy czyścili dubeltówki, kompletowali różnego rodzaju amunicję, a nuż jakiś zajac lub lis... Ja wyciągnąłem wielką lornetkę.

Wyruszyliśmy o świcie. „Pięciu wspaniałych”, jak powiedział stryj, usadowało się w obszernych saniach. Władek

LEŚNICZÓWKA NA ZAZAMCZU (dawniej w Beskidach)

nim wzgórze istniał jeszcze zamek. Wiekową przeszłość zdają się potwierdzać rosnące obok potężne lipy, grube, przeżarte przez grzyb i wilgoć ściany, no i chyba reumatyzm przekazywany według tradycji przez kolejne pokolenia mieszkańców, leśniczych dóbr muszyńskich.

Ta właśnie leśniczówka związała się z początkami mojej górskiej edukacji. Wtargnęła podstępnie w świadomość jako kilkuletniego chłopaka, urzekła tajemnicą zakamarków, starych rupieci i wielością przydatnych, ale dla wybrańców losu, przedmiotów. Odkrywałem więc tornistry i plecaki, kurtki i peleryny, długie i krótkie, ciężkie buciory, nieprzebraną mnogość okutych lasek z dziwacznymi uchwytami. Obok stały narty i kije, wisiały dubeltówki, ładownice i wszelki sprzęt myśliwski. Wszystko spowijała woń pleśni, skóry, kurzu.

Leśniczówkę na Zazamczu w Muszynie ujrzałem po raz pierwszy zimą 1927 r. Stryj, leśniczy, zaprosił wtedy moich rodziców na święta Bożego Narodzenia. Później bywałem w Muszynie często latem. Życie rodziny i znajomych w leśniczówce skupiało się głównie w obszernej, obwieszanej porożem sieni i przylegającej jadalni. Wielki kominek, połączony z piecem o dwustronnych ścianach, ogrzewał wyiębione bezlitośnie mury. Grube polana płonęły przez całą dobę, bo zima była tęga.

Duszą towarzystwa byli miejscowi i przyjezdni leśnicy-myśliwi, a wtórowali im studenci, głównie z Krakowa. Wszyscy byli rozmówcami w łązłach górskich. Nasłuchiłem się więc barwnych, pełnych przygód opowieści o wyprawach w niezbyt jeszcze



komenderował, a stryjenka troskliwie po-
obtykała nam nogi baranicą.

Odległy szczyt Jaworzyny oblekał się
różowo-złotą poświatą. Sanna była znako-
mita i szybko mknęliśmy doliną. Wkrótce
minęliśmy starą cerkiewkę na wzgórzu w
Złockim, a po paru kilometrach drugą we
wsi Szczytnik. Byliśmy już w ciasnym
wąwozie. Pod głębokim śniegiem sączył się
strumień. Płyzy sań raz po raz zgrzytały na
kamieniach. Wokół rósł stary las. Wreszcie
Władek wypatrzył nikły ślad dróżki wio-
dącej w prawo. Wysiadamy.

Z nartami na ramionach pięliśmy się
stromo na stok Kotylniczego Wierchu. Mija-
liśmy małe polany, to znów pasma lasu. Po
dobrej godzinie marszu wyszliśmy na
grzbiet. Obszerna polana Bukowa otaczała
głęboki kocioł potoku oddzielającego wy-
niosły szczyt Jaworzyny. Znałem te kąty.
Latem chodziłem tu ze stryjem podglądać
dziką zwierzynę. Zimą byłem natomiast po-
raz pierwszy. Podziwiałem biel śniegu, jakże
inną od pokrytej czarną sadzą z kominów
Warszawy.

Przypięliśmy narty i śladami Władka
sunęliśmy lekko, to zjeżdżając, to wznosząc
się nieco w górę. Śnieg był wspaniały; lekko
zsiadły puch zalegał niezbyt grubą warstwą.
Pod szczytem Jaworzyny przypięliśmy foki
i na deskach zdobyliśmy wierzchołek.

Widok, że można oszaleć! Takiego
nigdy nie oglądałem latem. Jak na dłoni sło-
wackie Tatry Wysokie z Łomnicą i Lodo-
wym, nieco przed nimi Tatry Białskie z
Hawranem i Muraniem. Na prawo Czer-
wone Wierchy, Giewont. Dalej Małe Pieni-

ny, Gorce, Beskid Wyspowy i tuż, tuż grupa
Radziejowej. Widać każde drzewo, budynki.
Spojrzałem przez lornetkę: przecież na
wprost rąbek doliny Popradu i obok nasza
leśniczówka: dym idzie z komina...

Oczarowani, a niemal zaczarowani tą
panoramą, znacznie później spojrzeliśmy na
północ. Cały horyzont był zaciągnięty
ciemną masą chmur. Zaczął dać wiatr.

– Mała przekąska i szybko wracamy
– zakomenderował Władek – Na pewno bę-
dzie padał śnieg. Niestety, nie pójdziemy
dziś do Diabelskiego Kamienia.

Wkrótce zjeżdżaliśmy szusem przez
wierzchołkowe polany. Hamowaliśmy jed-
nak potrosze, aby nacieszyć się krajobrazem.
Zaczęły się pojawiać krzewy, cyprysowate
jałowce. Za nimi droga leśna wyprowadziła
nas znów na polany czy pola. Niżej mignęła
sylwetka jakiegoś zwierzęcia i zaraz druga.
Czołowa dwójka przyspieszyła. Padły strza-
ły. A pozostali, wśród których byłem i ja,
ruszyli w pogoń. I wtedy syknęło gęstym
śniegiem.

Nagle rozległy się trzask i krzyki.
Moi towarzysze wpadli wprost w haszcze i
na obryw dolinki. Ja nieco z tyłu, gwałtownie
hamując, wywinąłem koziołka, a narty
poszły w dół.

Uplętnęło trochę czasu, zanim znaleź-
li nas nasi myśliwi i pomogli wygramodzić
się z krzaków i śniegu. Niestety, moi towa-
rzysze mieli mocno nadwyróżone ręce i no-
gi, a narty połamali. Znaleźliśmy się w kry-
tycznej sytuacji, bo i śnieżycy przybierała na
sile i robiło się mroczno. Żeby chociaż
dotrzeć do jakiegoś szałas...

Nagle, z góry coś zachrząściło. Z
gęstej zawiei wyłonił się koń ciągnący długi
pień. Obok szedł chłop w guni.

– Stójcie – krzyknął Władek!

Chłop się przestraszył i zaciął konia.
Ale Władek chwycił za lejce i przyhamował.
Rozpoznał Łemka.

– A to wy, Hrycko! Mam tu potłu-
czonych. Trzeba ich ściągnąć do szałas.

– Zaraz staraja jedlina, pane, prjamo
kurin (prosto szafas) Puchajdy.

Wspólnymi siłami udało się nam ulo-
kować potłuczonych w szałasie i rozpalić
ogień. Lżej się nam zrobiło na duszy.

– Tadek, na tobie polegam – mówił
Władek. – Blisko już Jasieńczyk i droga do
wsi doliną. Idź razem z Hrycką do gajowego,
niech zaraz rano przyśle pomoc.

Tymczasem się ściemniło i wszystko
znikło w śnieżnej kurzawie.

Długo oczekiwaliśmy na pomoc. Go-
dziny wlokły się nieznośnie. Na drugi dzień,
dopiero po południu, gdy ustała zadymka,
pojawił się gajowy z podleśnym i Tadeusz,
a z nimi... stryj z doktorem. Powiadomiono
go z rana i przyjechał dużymi saniami.

Skończyło się na potłuczeniach, ma-
łych zwichnięciach i połamanych nartach; no
i na żartach z myśliwych, którzy niczego nie
upolowali. Wracaliśmy, gdy już na czystym
niebie zabłyśła pierwsza gwiazda. Na głos
dzwoneków sań rodzina wybiegła z leśni-
czówki. Później zasiedli do wili. Jarzyła się
świeczkami tradycyjnie ustrojona, wielka
choinka i długo rozlegały się koledy.

Adam Czarnowski

Z KOGUTEM W HERBIE

Planującym wycieczkę na Błotny w
Beskidzie Śląskim, polecam szlak niebieski z
Grodźca. Jeszcze niedawno omijał zabytko-
wy park z licznymi wiekowymi drzewami i
XVI-wiecznym zamkiem, dzisiaj wprowadza
nas w to, ze wszech miar godne uwagi,
miejsce.

Grodziec, podskoczowska wieś, leżał
na szlaku solnym i jako strażnica wzmianko-
wany był po raz pierwszy w 1305 r. Rozwinął
się jednak dopiero w XVI w., kiedy stał się
własnością starosty księstwa cieszyńskiego,
Macieja herbu Radwan. Od nazwy miejscow-
ości właściciele – Grodzieccy przyjęli też
nazwisko. Od początku symbolem miejscow-
ości jest kogut, ale nikt jeszcze rozsądnie
nie wyjaśnił, dlaczego. Może to dalekie
wspomnienia wartowni na szlaku solnym,
może pamiętka rycerzy – rozbójników, a
może to ludzie, zadziorni, broniący swego?

Ród Grodzieckich wpisał się trwale w
historię Grodźca, ziemi cieszyńskiej oraz
Polski. Budowę zamku dokończył Henryk –
starosta cieszyński, on też fundował kościół
św. Bartłomieja (1556). Jan, bliski współpra-
cownik kardynała Hozjusza, jeden z prekursorów
renesansu, sprawował godność biskupa
ołomunieckiego.

Trzeci – Wacław, kanonik wrocławski
i dziekan kapituły brneńskiej, był kartografem,
autorem pierwszej pełnej mapy Królestwa
Polskiego i ziem przynależnych. Mapa wraz

z indeksem 724 nazw geograficznych pow-
stała w 1557 r. i dedykowana była Zygmun-
towi Augustowi. Mapa wykonana w skali
1:168 000 zawiera szereg praktycznych infor-
macji, np. gdzie można w sieci łowić zwierzynę
lub gdzie można spodziewać się napadu
zbrojców. Do końca XVII wieku mapa Wacława
Grodzitego (Grodzieckiego) uważana była
za najdokładniejszą i najnowocześniejszą.
Szczególnie dokładnie opracowany został
obszar górnej Wisły (trudno się dziwić), a
całość szaty graficznej odpowiadała rzeczywisto-
ści w terenie. W 1568 r. Wacław Grodziecki
sporządził drugą mapę, przypuszczalnie jesz-
cze dokładniejszą. Miała zdobić dzieło M.
Kromera „Polonia”, niestety rękopis zaginął.

Ale najbardziej znanym przedstawicie-
lem Grodzieckich jest Melchior, kapłan, mę-
czennik, w 1905 r. wyniesiony na ołtarze. Żył
w latach 1584-1619. Mimo iż kariera poli-
tyczna stała przed nim, wybrał kapłaństwo.
Przyszło mu żyć i pracować w czasie naj-
krwawszej wojny religijnej. W działaniu wo-
jenne wciągnięto religie, koronowane głowy
wykorzystywały Kościół do walki z protes-
tantami, tych zaś wybrano jako tarcze w
walce o zrzucenie panowania habsburskiego.

Melchior znalazł się w Koszycach jako
kapłan wojsk wiernych Habsburgowi. Po zdo-
byciu miasta przez Siedmiogrodzian został po
długich męczarniach zabit. Kult męczennika
rozpoczął się prawie natychmiast, bo nawet
koszyscy protestanci, zgorszeni bestialstwem
oprawców, publicznie wyrazili swoje obu-
rzenie i żądali godnego pogrzebu Melchiora

i dwóch jego współpracowników, kapłanów
razem zamordowanych. Żalować tylko na-
leży, że obecnie bł. Melchior Grodziecki jest
chyba najmniej znanym z polskich świętych.

Po Grodzieckich niewiele zostało: pły-
ta nagrobna Henryka w nowym kościele,
zniszczona krypta grobowa (za przyzwolen-
iem wojewódzkiego konserwatora). W zam-
ku gospodarzy Instytut Zootechniki, mający
spore osiągnięcia naukowe, ale niewielki
szacunek do tego miejsca. Park zarośnięty,
pokrzywy podchodzą pod taras zamkowy i
tylko jedna tablica pamiątkowa mówi, że żył
tu kiedyś wielki człowiek, ale to już zasługa
miłośników Grodźca (poświęcono ją pamięci
twórcy owej dobrej mapy).

Warto więc planując wyjście na Błotny
zarezerwować co najmniej godzinę i zwiedzić
Grodziec, bo tu i zabytki, i historia. Także
trzystuletnia aleja dębowa, pamiętka prze-
marszu Sobieskiego pod Wiedeń i stara
karczma, w której na rok przed śmiercią w
Sarajewie zatrzymał się arcyksiążę Karol Fer-
dynand. Tu pracował „cud techniki” – loko-
mobil parowy do orki, wykonany w Ustroniu.
Tu poznać kawał historii ziemi cieszyńskiej,
jej dzieje dawne, wzniosłe, i dzień dzisiejszy
poprzeplatany walką miłośników wsi o zacho-
wanie pamiątek po wielkich przodkach.

A na Błotny będzie jeszcze około 4
godzin spokojnego marszu.

Lech Wiewóra

P.S. I tylko ten kogut nie daje mi
spokoju.



GLOBTROTER



Marzenia o wyjeździe na daleką Syberię udało nam się zrealizować latem 1993 r. dzięki zaprzyjaźnionym z nami turystom ukraińskim.

Z Polski wyruszamy pod koniec lipca. Trasa podróży wiedzie przez Lwów i Moskwę do Irkucka. Przed nami około 7000 km w pociągu – myśl o tym wywołuje u niektórych członków naszej grupy mieszane

w górę Angary do miejscowości Listwianka. Pogoda i humory dopisują. Po godzinie koryto rzeki zwęża się i wpływamy na Bajkał. Krzyczymy z zachwytem! Na przeciwnym, płd.-wsch. brzegu, oddalonym o 40 km, wspaniale rysuje się masyw Chamar-Daban, którego wierzchołki przekraczają wysokość 2000 m. Powietrze jest niezwykle przejrzyste, choć tuż nad powierzchnią wody

kamy się do fortelu. Podając się za obywateli Estonii, wykupujemy pobyt na jeden dzień i po zapłaceniu drobnej sumy w rublach... znikamy w tajdze.

Decydujemy się na wędrowkę brzegiem w kierunku północnym. W naszej dziesięcioosobowej grupie mamy dwóch przewodników – z Rosji i Ukrainy. Po kilku kilometrach ścieżka zaczyna trawersować

W nadbajkalskich górach

uczucia. Prawie na tydzień wtapiamy się w rytm pociągowego życia. Sen, posiłki, gra w brydża i w kości wypełniają nam kolejne dni. Na drugi dzień od wyjazdu z Moskwy monotonię nizin ożywiają przedgórza Uralu. Gromadzimy się przy oknach wagonu. Wpatrujemy się w niskie, łagodne szczyty porośnięte tajgą. W pobliżu torów, dokładnie 1777 km od Moskwy, stoi słup wyznaczający granicę między Europą i Azją. W ciągu dwóch kolejnych dni przecinamy Nizinę Zachodniosyberyjską i podziwiamy rzeczne olbrzymy: Irtysz, Ob i Jenisej. Za Krasnojarskiem krajobraz wyraźnie się zmienia – przejeżdżamy przez północne rejony Sajonów. Góry kuszą swoim widokiem; w niejednej głowie kiełkują plany przyszłych wypraw...

Irkuck wita nas prawie trzydziestopięcioletnim upałem. Z zainteresowaniem przyglądamy się ludziom, wśród których spory procent stanowią Buriaci, rdzenni mieszkańcy tych stron. Po załatwieniu formalności biletowych udajemy się do polskiego kościoła w centrum miasta. Po krótkiej rozmowie uzyskujemy zgodę na pozostawienie depozytu z żywnością na drogę powrotną.

Nad Angarą, w pobliżu przystani, stają nasze namioty. Po upalnym dniu z przyjemnością zażywamy kąpeli, a następnie gromadzimy się przy ognisku. Mimo późnej pory nikt nie odczuwa senny. Minie kilka dni, zanim nasze zegary biologiczne dostosują się do miejscowego czasu. Różnica, w porównaniu z Polską, wynosi siedem godzin.

Nazajutrz rano płyniemy wodolotem

unoszą się mgiełka. Nad Bajkałem jest to normalne zjawisko nawet w upalne dni, spowodowane kondensacją pary wodnej nad zimnym lustrem wody.

Wysiadamy w Listwiance. Jest to popularne miejsce wypadowe dla turystów z Irkucka, którzy chcą „zaliczyć” Bajkał i jeszcze tego samego dnia wrócić do miasta. Oprócz Rosjan spotykamy też zachodnich turystów: Anglików i Japończyków.

Sława Bajkału nie wynika tylko z faktu, że jest to najgłębsze jezioro świata (1637 m). W grupie słodkich jezior zajmuje ono szóste miejsce pod względem powierzchni. Jego długość wynosi 636 km, szerokość 79 km, a długość linii brzegowej – około 2000 km. W Bajkale znajduje się 20% całej słodkiej wody świata! Jej objętość przewyższa np. objętość wody Bałtyku czy wszystkich Wielkich Jezior Amerykańskich razem wziętych! Woda jest krystalicznie czysta, bogato natleniona i bardzo uboga w sole mineralne. Po wiosennych roztopach widać dno na głębokości 40 m. Zupełnie wyjątkowa jest flora i fauna Bajkału. Około 60% gatunków zwierząt i 15% gatunków roślin to endemity, tzn. nie występują nigdzie indziej.

Po nasyceniu się widokami kierujemy wzrok na cel naszego trekkingu – Primorski Chriebiet. Jest to niewysoki (do 1700 m) łańcuch górski, okalający południowo-zachodnie brzegi Bajkału na przestrzeni ponad 300 km. Teren ten został objęty ochroną przez utworzenie Przybajkalskiego Parku Narodowego. Pobyt w parku jest płatny, dla obcokrajowców jest to kwota 1 USD za 1 dzień. Nikt z nas nie kwapi się do zapłaceniu kilkunastu dolarów, toteż ucie-

kbocza o nachyleniu 40-50°, opadając wprost do Bajkału. Każdy nieostrożny krok grozi obsunięciem i dwudziestometrowym lotem. Dochodzimy do miejsca, gdzie ścieżka wąską półeczką przechodzi przez eksponowany występ skalny. Przewodnik decyduje, że przejście z plecakami byłoby zbyt niebezpieczne. Aby ominąć przeszkodę, kierujemy się wprost do góry, po zalesionym, ale osuwistym zboczu. Po pół godzinie wspinaczki stromizna rośnie. Rozwinięta przez przewodnika lina służy nam jako poręczówka i nieco przyspiesza wejście. Odpoczywamy zdyszani. Nie zabraliśmy wody, żeby dodatkowo nie obciążać plecaków. Teraz każdy łakomie patrzy na migocące w dole wody Bajkału.

– Pod nami jedna piąta wody słodkiej świata, a w gardle sucho! – rzuca Irek.

Wybuchamy śmiechem. Po krótkim odpoczynku ruszamy dalej, teraz już w dobrym tempie. Posuwamy się równoległe do Bajkału, po czym pierwszą napotkaną dolinką schodzimy do jego brzegów. Przez pewien czas idziemy kamienistą plażą, rozglądając się za dogodnym miejscem na biwak. W końcu znajdujemy odpowiednią polankę. Rozbijamy namioty, wkrótce nad ogniskiem gotuje się woda na ciepły posiłek i herbatę. Prawie wszyscy idziemy się wykapać. Latem wody powierzchniowe Bajkału nagrzewają się zwykle do 12-14°, jedynie w osłoniętych zatoczkach temperatura może wzrosnąć do 20°. Ostrzegamy się wzajemnie, aby nie odpywać od brzegu dalej niż kilka metrów. Głębokość wody rośnie gwałtownie – nachylenie dna przy zachodnim brzegu wynosi 30-40°. Kilka dni później, na jednym z biwaków, byliśmy

świadkami rozgrywającej się tragedii. Podczas zabawy na kutrze, który zakotwiczył niedaleko od naszego obozu, utonął mężczyzna. W ciemnościach nocy nie mogliśmy w żaden sposób pomóc.

W ciągu kilku następnych dni marsz wygląda podobnie. Korzystając z dobrej pogody, kilku z nas decyduje się na nocleg pod gołym niebem, na plaży. Szum fal, rozgwieżdżone niebo i księżyc w pełni, rzucający jasną poświatę na wody Bajkału, pozostawiają niezatarte wrażenia.

Trzeciego dnia docieramy do pierwszej na naszej trasie osady. Wioska nazywa się Bolszyje Koty. Kilkanaście drewnianych domów, przystań, sklep spożywczy z podstawowymi produktami – czyli nic szczególnego. Wypyujemy o możliwość kupienia świeżej ryby, która urozmaiciłaby nasz jadłospis. Z 52 gatunków ryb występujących w Bajkale największą sławą cieszy się omul. W trakcie naszego pobytu jego cena wynosiła 1-1,5 dolara za kilogram. Niestety, musimy obejść się smakiem, ponieważ rybacy dopiero wyłynęli na połów.

Opuszczamy więc i rozbijamy się kilka kilometrów dalej. Wieczorem, podczas kolacji, spadają pierwsze, niewinne krople deszczu... Nikt wtedy nie przypuszczał, że nie przestanie padać przez dwie najbliższe doby. W nocy rozpętuje się wichura połączona z silną ulewą, a rano nie przynosi poprawy. Rozszalały Bajkał pokazuje swoje groźne oblicze. Spienione, kilkumetrowe fale z hukiem rozbijają się o przybrzeżne skały. W czasie jesiennych sztormów fale osiągają 6 m wysokości! Marynarze wyróżniają w tym rejonie kilkanaście rodzajów wiatru (ze względu na siłę, kierunek i stan pogody), z których każdy ma swoją nazwę, np. barguzin, wierchowik itp.

Z namiotów wychodzimy tylko „za potrzebą” lub żeby przygotować coś ciepłego do jedzenia. Mokre drzewo nie chce się palić, ale w końcu udaje się zagotować wodę. Na rozpałkę niezawodna okazuje się kora brzozy, która nawet mokra świetnie się pali.

Tego dnia jedna z uczestniczek, Magda, obchodzi swoje 23 urodziny. Nie ruszając się ze swoich namiotów przekrzykujemy ulewę śpiewając „Sto lat!” i całą serię najbardziej zwariowanych piosenek, podnosząc się tym na duchu.

Wieczorem w „pamirce” (typ namiotu) naszego przewodnika stoi już woda. Podejmujemy decyzję o „zagęszczeniu”; w naszych pocziwych chińskich dwójkach (spisały się na medal!) będą tej nocy spały po 3 osoby.

Rano dalej pada. Po śniadaniu większość z nas nie ma na sobie już nic suchego. Krótka narada i zapada decyzja – wracamy do Bolszych Kotów. W deszczu pakujemy plecaki i zwijamy namioty, po czym udajemy się znaną już nam ścieżką, która jednak bardzo się zmieniła. Jest bardzo ślisko. Całe fragmenty zostały rozmyte przez osuwające się ze zboczy lawinki błotne.

W Bolszych Kotach udaje nam się dostać miejsca w schronisku młodzieżowym. Tutaj następuje odprężenie. Rozpalamy ogień w wielkim, kaflowym piecu, gotujemy posiłek, suszymy odzież i ubrania. Nasz przewodnik robi mały „rekonesans” we wsi. Po godzinie wraca ze sporym workiem ziemniaków, mąką na bliny (odpowiednik naszych naleśników), butelką mleka i sporym ogórkiem zielonym. Z tych cudniek urządzamy prawdziwie królewską „wyżerkę”.

Pogoda staje się jeszcze gorsza – zaczyna wiać huraganowy wiatr, który m.in.

łamie słup elektryczny we wsi. Ze zgrozą myślimy, co zostaliby z naszych namiotów, gdybyśmy pozostali na miejscu jeszcze jedną noc.

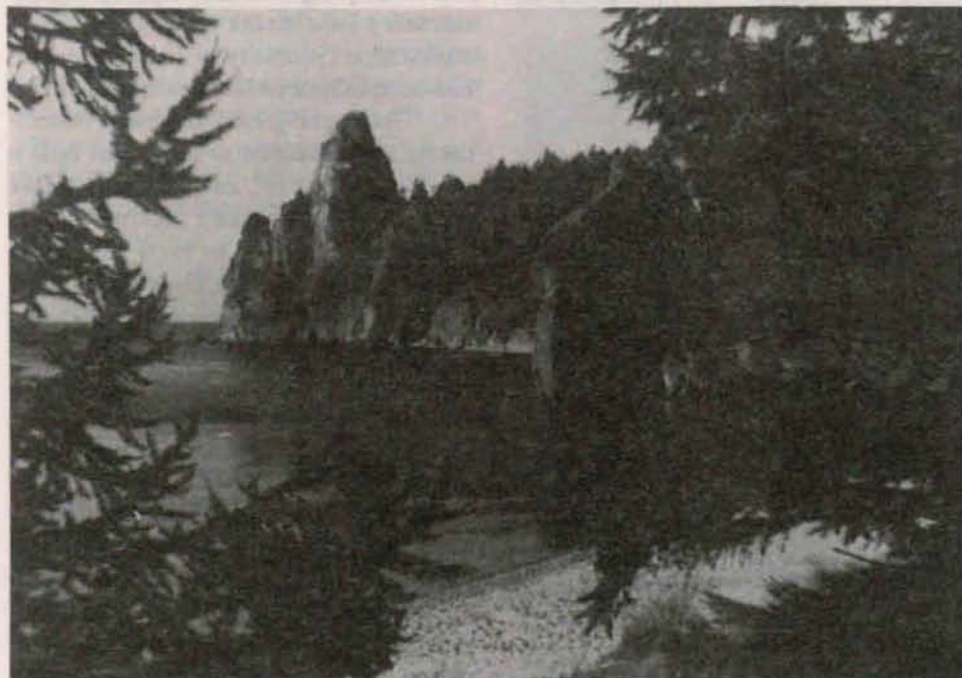
Dwa kolejne dni to okres pewnego kryzysu i ogólnogrupowego załamania psychicznego. Pogoda solidnie pomieszała nam szyki. Żal straconych dni, ale jednocześnie rośnie chęć przełamania złej passy i wyrwania się z miejsca. Pokonujemy szereg mniejszych i większych problemów, którymi nie warto zanudzać czytelnika. Dość powiedzieć, że poważnie uszczupiliśmy nasze rezerwy dolarowe na wynajęcie trzech z kolei kutrów i znaleźliśmy się w oddalonej o 60 km na północ Buchcie Pieszczyanej (Zatoce Piaszczystej).

Źródła pisane zaliczają Buchtę Pieszczyaną do najbardziej malowniczych zakątków Bajkału. Jest to półkolista zatoka, wejścia do której strzegą dwie wybitne skały, zwane Małyj i Bolszoj Kołokolnyj. Jak sama nazwa wskazuje, plaże w zatoce są piaszczyste; okoliczne zbocza porasta las z przewagą sosny. Uroda tego miejsca, jak i specyficzny mikroklimat, przyciągają corocznie wielu turystów. Zbudowano tutaj nawet dość sporą bazę turystyczną.

My, szukając spokoju, rozbijamy się w sąsiedniej, nie mniej pięknej Buchcie Babuszki. Dwa dni upływają pod znakiem błogiego leniuchowania, luzu i „ładowania akumulatorów” przed dalszą wędrówką. Zapaleńcy pod wodzą przewodnika „na lekko” penetrują okoliczne tereny. Reszta pilnuje obozu i wykorzystuje czas na wykurowanie się. W czasie wyprawy bowiem wyjątkowo nękały nas biegunki, przeziębienia i nadwyrężenia nóg. Na szczęście, jest z nami dwoje studentów medycyny ze sporą apteczką.

Nadchodzi dzień wymarszu. Decydujemy się zagłębić w góry i rozstać z Bajkałem na trzy dni. Wybór pada na szlak prowadzący do miejscowości Bolszoje Gołoustnoje. Po drodze mamy do pokonania kilka przełęczy.

Opuszczamy Buchtę i wchodzimy w las wspinając się dosyć ostro w górę ścieżką. Jest to dla nas pierwsze zetknięcie z prawdziwą, syberyjską tajgą. Wybrzeża Bajkału porasta tzw. tajga świetlista. Wśród drzew iglastych spotykamy tu sosnę, limbę syberyjską (nieśluszenie zwaną cedrem) oraz modrzewie; w podszyciu często rosną jałowce. Domieszkę drzew liściastych stanowią osiki i brzozy. Wśród roślin runa spotykamy różne gatunki borówek, bagno zwyczajne, liczne mchy i porosty. Szczególne zainteresowanie wzbudza roślina zwana bergenią grubolistną. Napar z jej suszonych liści jest stosowany jako namiastka herbaty o właściwościach leczniczych.



Zatoka Piaszczysta. Foto: Ireneusz Oleksik

W marszu często słyszymy wysoki świst i czasami udaje się zobaczyć szarobrunatne zwierzątko o kontrastowo przegowanym grzbiecie przemykające wśród drzew. To burunduk, krewniak naszej wieiórki, charakterystyczne zwierzątko tajgi. Wszystkim marzy się spotkanie z niedźwiedziem, ale spotykamy tylko świeże tropy i odchody. Najwyraźniej zwierzęta są bardzo ostrożne i unikają kontaktu z człowiekiem.

Przekraczamy pierwszą przełęcz i powoli obniżamy się. Po kilku kilometrach docieramy do drewnianej chatki myśliwskiej. Jej zawartość robi na nas duże wrażenie. Nie można powstrzymać się w tym miejscu od wycieczki, a więc: drewniane prycze i półki, stół, piecyk, piła i siekiera, trzy lampy naftowe, garnki i talerze, sztucce, bandaże, igła z niciami, zapalniczki, zapas nafty, mąka, zupy w proszku, sól i kilka innych drobiazgów. Uff! Jako żywo przypominają się opowieści o traperach Północy. Zastanawiamy się, jak długo przetrwałaby taka chatka gdzieś w polskich górach... Dobrym zwyczajem postanawiamy zostawić coś od siebie – wybór pada na zapalniczkę.

Ruszamy dalej. Wygodny dotychczas marsz zaczyna się komplikować. Ścieżkę coraz częściej zagradzają olbrzymie wiatrołomy, efekt wichury sprzed kilku dni. Ich przekraczanie lub omijanie jest niezwykle uciążliwe. Tempo marszu spada momentalnie do 2-3 km/h. Po pewnym czasie padamy bez tchu. Na szczęście, dzień chyli się ku końcowi i trzeba biwakować.

Po kolacji długo siedzimy wokół ogniska. Ta noc na zawsze pozostanie w naszej pamięci. Oddaleni od siedzib ludzkich, zagubieni w tajdze, stajemy się jakby jej częścią. Wpatrujemy się w niesamowicie

rozgwieżdżone niebo, które co chwila rozjaśnia błysk spadającego meteoru. Jak przyjemnie jest położyć się w ciepłym śpiworze po forsownym dniu!

Rano wstajemy nieco zziębnięci. W nocy był przymrozek, ponieważ wodę przykryła warstewka lodu. Aż trudno uwierzyć, że za kilka godzin będzie prawie trzydzieści stopni w cieniu. Takie dobowe skoki temperatury to jedna z cech klimatu kontynentalnego, charakterystycznego dla wnętrza Azji.

Dzień podobny jest do poprzedniego – nieustannie przedzieramy się przez wiatrołomy. Ścieżka wyznacza jedynie kierunek marszu. Co jakiś czas ktoś wywraca się lub szczególnie mocno zaklinuje w gałęziach. Nerwy nie wytrzymują i w powietrze ulatuje wiązanka przekleństw.

Następny biwak wypada na „stajance”, czyli w miejscu specjalnie do tego celu wyznaczonym. Stoi tu duży szałas. Jego rusztowanie, ułożone z gałęzi na kształt indiańskiego tipi, pokryte jest płatanami kory. Mimo ostatniej, mroźnej nocy kilkoro z nas postanawia w nim spać. Po kolacji w chłopaków wstępuje jakiś bojowy duch – chwytają za siekiery i zaczynają przerąbywać ścieżkę w kierunku jutrzejszego marszu. Po oczyszczeniu 200 m padają bez życia, ale zadowoleni z siebie. Postanawiają upamiętnić swój wyczyn i wykonują tabliczkę z napisem w dwóch językach: polskim i rosyjskim. Strugamy też drogowskaz z napisem: „WROCLAW 7058 km” i kierujemy go na zachód. Chyba coraz częściej zaczynamy myśleć o domu...

Następnego dnia wreszcie wychodzimy ze „strefy wiatrołomów”. Przyjemną, porośniętą obficie brzoza doliną kie-

rujemy się w stronę Bajkału, który osiągamy po kilku godzinach marszu. Miło znów popatrzeć na otwartą przestrzeń.

Dalej nasza droga prowadzi kamienistą plażą. Od miejscowych wędkarzy dowiadujemy się, że kilka kilometrów trzeba będzie przejść w wodzie po kolana. I rzeczywiście. Po godzinie plaża kończy się, wody Bajkału bezpośrednio oblewają skaliste zbocza. Wchodzimy do wody w butach terenowych, aby nie poranić stóp; idąc boso łatwo się także pośliznąć na kamieniach, szczególnie z plecakiem. W pewnym miejscu woda robi się wyraźnie głębsza. Przewornie narzucamy plecaki na głowę i w ubraniu wchodzimy do Bajkału po pas. Dostyc duże fale rozbijają się z impetem o skały mocząc nas dokładnie.

Na szczęście, w chwilę później wchodzimy na polanę. Okazuje się, że powstaje tutaj baza turystyczna, Szybko rozpalamy ognisko i zrzucamy mokrą odzież. Od gospodarzy terenu dostajemy pozwolenie na rozbięcie namiotów.

Nazajutrz przemierzamy ostatni pieszy odcinek naszej wędrówki. Gruntową drogą opuszczamy góry i wkraczamy w deltę rzeki Gołoustnaja, rozległy, płaski teren o charakterze stepowym. W niektórych miejscach ziemia jest podziurawiona przez nory susłów jak szwajcarski ser. Kilka razy udaje się nam dostrzec te sympatyczne zwierzątka przemykające wśród traw.

Dochodzimy do wsi Bolszoje Gołoustnoje. Okazuje się, że wioska od paru dni jest praktycznie odcięta od świata. Sytuacja staje się niebezpieczna, bowiem na jutro wieczorem mamy wykupione bilety na pociąg z Irkucka i musimy się tam koniecznie dostać.

Po długich rozmowach przewodnikowi udaje się załatwić miejsca w autobusie, który jutro z rana ma pojechać do Irkucka. Noc spędzamy w zadaszonym pomieszczeniu na terenie miejscowych garaży.

Rano przyjeżdża autobus. Pomieszczenie dla pasażerów to drewniana buda o powierzchni 10 m², zaopatrzona w kilka siedzeń, małe okienka i żelazny piecyk. Wsiadanie przywodzi na myśl próbę bicia rekordu z książki Guinessa. Ostatecznie pojadą 32 osoby, duży wilczur i sarta naszych plecaków. Pojazd trzęsie na wyboistej drodze, a podczas przejeżdżania kilku drewnianych mostów serca podchodzą nam do gardeł.

Czterogodzinna jazda przez tajgę, w potwornym ścisku, upale i tumanach wszechdobylskiego kurzu, stanowi końcowy akcent naszej syberyjskiej przygody. W Irkucku zamyka się pętla naszej wędrówki. Przed nami jeszcze 7000 km, ale myślami jesteśmy już w domu.



Wędrówka brzegiem Bajkału. Foto: Ireneusz Oleksik

Spacerkiem po górach

czyli redaktor
Józef Nyka
informuje

NOWY POLSKI SZEŚCIOTYSIĘCZNIK

Dwaj członkowie KWW, Jerzy Natkański (39) i Dariusz Załuski (32), wyrwali z wypełnionego pracą lata kilka tygodni na wypad w znane im już z poprzednich pobytów Karakorum. We dwóch weszli w głąb dzikiej i odludnej doliny Lupghur South, nad którą panują wspaniałe masywy Momhil Sar (7343 m) i kilkuwierzchołkowy Lupghur Sar (ok. 7200 m). Naszych młodszych kolegów zainteresował ładny lodowy szczyt ok. 6500 m w grani zachodniej, na mapie Jurka Wali oznaczony punktem, a przez tragarzy zwany Borondo Sar. Zaatakowali go 31 lipca wprost z doliny – lodową flanką ok. 1500 m wysokości. W dolnej połowie (ok. 800 m deniwelacji) lód był dość połogi (40 st.), natomiast górna część (ok. 500 m) spiętrzała się miejscami do 60 stopni. Groźną barierę seraków ominęli od prawej strony. Około godz. 15 dotarli do grani, a o 17 byli na dziewiczym szczycie. Nad górami wisiały chmury, ale kilka panoram wyszło na zdjęciach bardzo dobrze. Zejścia dokonali tą samą drogą, korzystając z pełni księżyca. O drugiej w nocy byli z powrotem w namiocie. Postarali się też o dokumentację fotograficzną otoczenia, z myślą o którymś z tutejszych wyższych szczytów na najbliższe lata.

Jak czuli się we dwóch w odludzkim Karakorum w kompletnej izolacji? W przyszłości – mówią – raczej nie wybiorą się bez ludzkiego zaplecza. Myśl, że są sami i nikt w dole o nich nie myśli, nie dawała im podczas wspinaczki spokoju. Jeśli już nie dla bezpieczeństwa, to przynajmniej dla psychicznej podpory obóz wypadowy nie powinien być pusty. Mimo iż tegoroczny polski sezon himalajski zapowiada się wcale bogato, osiągnięcia Jurka i Darka ocenić trzeba bardzo wysoko: dziewicze sześciotysięczniki tej klasy nie są himalajską codziennością, a wejścia na nie odnotowywane są we wszystkich kronikach.

ZNÓW KRZYŻE U STÓP K2

Latem 1992 r. wyprawa pod wodzą Wołodii Bałybierdina na nowo „otworzyła” Grań Abruzzów, od 1986 r. pozostającą – mimo przeszło 20 ataków – bez powtórzenia. W tym roku za ciosem poszło kilka

innych wypraw: Słoweńcy (na 100-lecie PZS), Szwedzi, Amerykanie, Niemcy, Kanadyjczycy... Pierwsi weszli na szczyt Słoweńcy wraz z Chorwatem i Meksykaninem, Carlosem Carsolio, „wychowankiem” wypraw polskich. Jednym ze Słoweńców był Viki GroBelj, który zaliczył swój 10 ośmiotysięcznik. Carlos Carsolio ma już 5 szczytów tej klasy. Potem na szczyt wchodzili Szwedzi, za nimi inne nacje. W sumie Granią Abruzzów weszło na K2 14 osób, niestety, 4 z nich (30%) nie powróciły do bazy. Piątą ofiarą był BoBijan Kekec, zmarły w wyniku choroby wysokościowej.

Na drodze normalnej działalności te zakończono w początku sierpnia. Przyszła wówczas wyprawa międzynarodowa, z zamiarem przejścia ściany zachodniej. Po ciężkiej walce, komplikowanej słabą pogodą, na szczyt weszli obaj kierownicy wyprawy – Daniel Mazur (USA) i Jonathan Pratt (Anglia). Było to pierwsze powtórzenie drogi japońskiej z roku 1982 – mimo tradycyjnej taktyki obłączniczej (choć bez tlenu) bardzo ładne osiągnięcie, jeden z „gwoździ” lata 1993 w Karakorum. Liczba tegorocznych zdobywców szczytu zwiększyła się do 16.

Nowe książki

W październiku gliwickie wydawnictwo EXPLO rzuciło na rynek dwie nowe książeczki górskie: Andrzeja Machnika „Na kolanach do Koryta”, oraz cieniutką (tylko kilka krótkich



Foto: Piotr Dacko

TRAGICZNY SEZON W ALPACH

Zmienna pogoda, jak i zmasowanie ludzi w rejonie Mont Blanc owocuje normalnie, to znaczy wypadkami. Było ich do połowy sierpnia kilkadziesiąt, a najbardziej tragiczny na Jorasses od strony włoskiej. Katastrofa nastąpiła o 4 rano, kiedy ogromna lawina seraków, oderwana na wysokości ok. 4000 m z Kuluaru Whympera, wymiotła 3 zespoły, w sumie 8 osób. A było w drodze 18 osób. Lawina zesłała na wysokość 3200 m. Niebawem nadleciały 2 helikoptery z silnymi drużynami ratowników. Stosunkowo szybko wydobyli ciała trojga Włochów (2 dziewczyny), ale dalsze poszukiwania były bezowocne. Przerwano je, kiedy ok. godz. 13 gruchnęła następna lawina. W lawinisku było jeszcze 2 Francuzów i 3 Niemców, najstarszy 59-letni. O ratunku nie mogło być mowy. Ostatnio szwajcarska TV podała, że w Alpach Szwajcarskich między 1 lipca a 15 sierpnia śmierć poniosło 26 osób. 14 sierpnia znaleziono pod jedną ze ścian zwłoki 4 wspinaczy.

Tadek Wowkonowicz

opowiadał) broszurkę Zbigniewa Wacha pt. „Biwak nad Białą wodą”. Obie pozycje mają charakter wspomnieniowy i dotyczą mniej więcej tego samego okresu w polskim taternictwie (alpinizmie), ale różnią się od siebie drastycznie i stylem, i formą. Zbyszek Wach w przeciwieństwie do prosto i naturalnie opowiadającego Machnika sprawia wrażenie, jakby starał się usilnie tworzyć literaturę na wysokim poziomie. Zamiast tego traci autentyczność, chwilami brzmi niemal patetycznie i to razi, gdyż jest nieprawdziwe.

Ale tak w ogóle, to szkoda, że alpinisci piszą tak mało. Zwłaszcza Ci, co już naprawdę mieliby o czym pisać.

Również w tym roku ukazała się nowa pozycja Wydawnictwa „Granit”. Jest to wznowienie mało znanej, pierwszej książki Adama Skoczylasa pt. „Cztery dni słońca”, będącej kontynuacją podjętego przez tę oficynę cyklu klasyki literatury górskiej. Szata graficzna taka sama jak wcześniej wznowionego przez to wydawnictwo „Komina pokutników” Jana Długosza. Skoczylas należał do czołówki polskich alpinistów w latach powojennych. M.in. razem z Jerzym Hajdukiewiczem uczestniczył w zwycięskiej szwajcarskiej wyprawie na Dhaulagiri (8167 m) w 1960 roku.

Przeczytać trzeba, gdyż dla większości Adam Skoczylas i jego literatura jest już tylko historią i to wcale nie najnowszą. (a)

GÓRY I ALPINIZM

pod redakcją Aleksandra Lwowa

HIMALAJE TATRY SKAŁY

Czas działał na naszą niekorzyść. Schodząc, nabrałem przekonania, że zanim zdołamy tu wrócić będzie za późno na wejście w ścianę. Wiedziałem, że w ciągu dnia możemy nie zdążyć do jedynej, nadającej się na biwak półki – bloku quance,

że prowadzący leci. Wyglądało na to, że Rafał zdobył się na dynamiczny wyskok do wspomnianego, leżącego poza zasięgiem jego wzrostu, chwytu. Udało mu się. Dalej lina szła już równomiernie w górę aż do końca. W chwilę potem i ja przechodziłem

trzydzieści centymetrów (o tyle szczebelki ławeczki są z reguły rozmieszczone) posuwała się już spokojnie do góry. Przestraszony, postanowiłem już teraz, gdy mogłem stać jeszcze w miarę wygodnie, wyjąć z plecaka i przypiąć do pasa asekuracyjnego ławeczkę. Przekonany byłem, że lepiej będzie pomóc sobie w sposób sztuczny, niż lecieć nie wiadomo ile i dokąd. Strach zawsze ułatwia podejmowanie takich decyzji.

Wyszedłem spod przewieszki i początkowo dość sprawnie lałem w górę. Rysa zwężała się. W końcu, jak to było do przewidzenia, utknąłem. Czułem, jak więdną mi buły. Choć nie złapał mnie jeszcze „telegraf”, już byłem bliski paniki.

Postanowiłem jeszcze nie rezygnować. Zmobilizowałem wszystkie siły, uspokoiłem oddech i „wyciorałem” w magnezji spocone ręce. Poczuję nagły przypływ energii. Ruszyłem, cedząc przez zęby – ja to muszę, ja to muszę... – i, choć wszystko na to wskazuje, nie będzie tu nic napisane o brawurowym, jednak klasycznym pokonywaniu skrajnie trudnej drogi... Stałem w ławce.

Następnego dnia zachodnia Petit. Dru mieliśmy już za sobą. Minęło parę lat: najlepiej pamiętam z tamtej wspinaczki właśnie ławeczkę. Wyglądało na to, że nie miły moment zawahania przyćmił całą resztę. (...)

Artur Hajzer

Atak rozpacz (5)

zawieszonych w dwóch trzecich ściany, tuż pod 90-metrowym zacięciem. Logika i strach nakazywały w takiej sytuacji odczekanie jeszcze jednego dnia. Byłem pewien, że moi kumple rozumują w ten sam sposób, i że na dziś problem wspinania mamy już z głowy. Ból brzucha jakby ręką odjął. Jednak nie trwało to długo. Jasio i Rafał, gdy tylko dorwali się do sprzętu, natychmiast ruszyli z powrotem w górę.

Około 9⁰⁰ przystąpiliśmy do wspinania. Do tarasów, gdzie zaczynały się właściwe trudności, mieliśmy około 300 metrów łatwego terenu. Prowadził Rafał. Właśnie mówił mi, że rzeczywiście jest trudno, po czym zniknął za skalnym przełamaniem i lina stanęła. Teraz tylko ona, nie mieliśmy już bowiem kontaktu głosowego, mogła być tym medium, które informowało mnie o jego czynnościach. Lina przez dłuższą chwilę nie przesuwała się, po czym poszła w górę na jakieś dwadzieścia centymetrów i wróciła do poprzedniej pozycji. Powtórzyło się to parę razy. Wywnioskowałem z tego, że skromny wzrost mojego partnera nie pozwalała mu dosięgnąć do jakiegoś chwytu. W chwilę potem lina zaczęła drgać. Było to dla mnie poważne ostrzeżenie, drgania znaczyły bowiem, że nogi Rafała, zmęczone staniem w jednym miejscu, zapewne na niewielkich niewygodnych stopniach, wpadały w charakterystyczną trzęsawkę – „telegraf”. Nie miał zbyt wiele czasu na wyjście z opresji. Po „telegrafie” z reguły następuje „dojrzenie” (do lotu), a zaraz potem spadanie. Nie pozostało mi więc nic innego, jak przygotować się na nagłe szarpnięcie. Musiałem przedtem tak ustawić ciało, aby impet upadku nie wyrwał mnie ze stanowiska. Nagle lina poszła w górę na jakieś półtora metra, ale nie aż tak szybko, by móc sądzić,

to miejsce. Przekonałem się, że lina mnie nie oszukała. To, co wyczytałem wcześniej z jej ruchów, zgadzało się co do joty.

W sumie do tarasów doszliśmy dość szybko. Ponad nimi zachodnia Dru staje dęba. Wyżej są już tylko lite, słabo urzeźbione płyty, które stykając się ze sobą tworzą szerokie skalne pęknięcia. Jednym z nich „dülfers athletic” – prowadzić miała nasza droga. Sama nazwa wskazywała, że jest to formacja dla „bularzy”. Hans Dülfers, wielki wspinacz lat międzywojennych, jako pierwszy zastosował i rozpowszechnił wymagającą dużego wysiłku, ale bardzo skuteczną, technikę pokonywania skalnych pęknięć. W pozycji Dülfersa wspinacz wygląda jak Tytan, który opierając nogi na powierzchni jednej płyty, rękami uciepiony krawędzi drugiej, naprężając mięśnie grzbietu próbuje rozerwać skalną ścianę na dwie części.

Najwyraźniej miałem pecha, nigdy „bularzem” nie byłem, a to właśnie na mnie przypadła teraz kolej w prowadzeniu. Wszedłem w rysę z niepewną miną. Nade mną wspiął się jeszcze na tym odcinku pierwszy z zespołu hiszpańskiego. Szybko jednak znalazłem się pod przewieszką i straciłem go z pola widzenia. Znowu tylko lina mogła mi pomóc dowiedzieć się, co czeka mnie tam wyżej. Informacje nie były budujące. Lina zachowywała się bardzo nerwowo: to w górę, to w dół, to znowu zamierała na dłuższą chwilę, drgała, znowu w dół itd. Gdy amplituda drgań doszła do dwudziestu centymetrów znaczyło, że Hiszpan ostatkiem sił próbuje utrzymać się w pozycji pionowej. Usłyszałem brzęk uderzającego o skałę aluminium i lina uspokoiła się.

– Niechybnie Hiszpan stanął w ławeczce – pomyślałem.

Tak, wszystko na to wskazywało, dalej bowiem lina miarowo, etapami co



W Alpach. Foto: Archiwum A. Lwowa

Są słódme „Góry”!

Z datą „wrzesień 1993” ukazał się kolejny (7) numer czasopisma „Góry” – dawniej „Taterniczek”. Piszą w nim: Józef Nyka o najciekawszych aktualnościach na temat Everestu, Andrzej Machnik o tatrzańskim zimie 1992/93, Miron Chlebosz i Władek Janowski o wspinaniu w USA, Marek Miżyk o alpinistycznym szczycie w Katmandu, Wojciech Wiśniewski jak zawsze o jaskiniach, Piotr Drobot o zawodach wspinaczkowych w Szczecinie i inni. Ponadto są „Echa z gór”, jest wiele o skałkach (również o „naszej” Hejszowinie) oraz walka na reklamy między Wielickim (Mello's) a Hajzerem/Majerem (Alpinus).(al)

„Wycieczka do Zielonego Stawu Kieżmarskiego”...

... Walerego Eliasza ukazała się jako szósta z kolei pozycja z serii „100 lat temu pod Tatrami”, wydawanej przez gdańskie Wydawnictwo „Zawrat”, którego szef – Grzegorz Niewiadomy, opatrzył książeczkę wstępem i przypisami. Jedno i drugie jest w sumie objętościowo większe od właściwego dzieła Eliasza, ale w połączeniu z kilkoma reprodukcjami rycin i obrazów o tematyce tatrzańskiej, dają garść ciekawych informacji o ludziach i nazewnictwie Tatr. (al)

„Alpinus” gore?

1 i 2 października chorzowska firma ALPINUS zorganizowała na terenie Ośrodka Postępu Technicznego w Katowicach zamkniętą imprezę pokazowo-szkoleniową pod nazwą „Alpinus – Spotkania”, adresowaną do osób prowadzących sklepy sportowe i dystrybutorów produktów firmy z całej Polski. W jej ramach odbyły się prelekcje połączone z prezentacją najnowszych wzorów i wyrobów, rozmowy handlowe, konferencja prasowa (nieudana) oraz bankiet z tańcami. Przy okazji potwierdzono, że ramię w ramię z ALPINUSEM na krajowy rynek wchodzi zdecydowanie znana na świecie firma GORE, produkująca słynny materiał „oddychający” Gore-tex. Oferta „Alpinusa” w najbliższym czasie rozszerzy się m.in. o... raki, do produkcji których firma właśnie się przygotowuje.

Dawniej, gdy produkcją sprzętu zajmowali się drobni producenci, co zaowocowało m.in. nazwaniem jednego z nich „Kaziu Morderca”, nikt za nic nie ponosił odpowiedzialności. Przejęcie ich „działki” przez dużą, poważną firmę wyjdzie alpinistom na zdrowie, gdyż w razie czego... wiadomo dokąd się udać z reklamacją.(a)

Nie Teliga, a Rutkiewicz

Pewna szczecińska drużyna harcerska wybrała na swojego patrona Wandę Rutkiewicz. Młodzi ludzie nie bardzo potrafili wyjaśnić, dlaczego pragną akurat Wandy, a nie np. Leonida Teligi, ale 23 października 10-osobowa delegacja pod wodzą drużynowej odwiedziła we Wrocławiu matkę i brata naszej najwybitniejszej himalaistki. W zorganizowanym z tej okazji spotkaniu towarzyskim uczestniczyli również: alpiniści – Bogdan Jankowski i Aleksander Lwow, dziennikarka, autorka wywiadów z Wandą – Elżbieta Pomorska, oraz kiluosobowa grupa Jej szkolnych koleżanek i kolegów. W przyniesionym specjalnie na tę okazję albumie ze zdjęciami maturalnymi dawnej klasy Wandy Rutkiewicz, można było zobaczyć Ją samą jeszcze bardzo młodą i – ku zaskoczeniu niektórych obecnych – wcale okrągłątką.

Idąc dalej tym tropem, możemy oczekiwać już wkrótce wodowania statku imienia Wandy Rutkiewicz.(a)

Nie skacz byle gdzie!

Vlado Urbanec, czeski wspinacz, blisko zaprzyjaźniony z polskim środowiskiem alpinistycznym, jak nam doniesiono „zwałił się w piaskach Adrszpaczu” (w pobliżu którego mieszka) tak nieszczerze, że doznał nadzwyczaj skomplikowanego złamania nóg w obu kostkach, co na wiele miesięcy skutecznie wyeliminowało go z życia wspinaczkowego i zawodowego. Jak na ironię jego wypadek nie był nawet odpadnięciem, lecz jedynie zeskokiem ze stosunkowo niewielkiej wysokości, tyle że na nierówne podłoże.

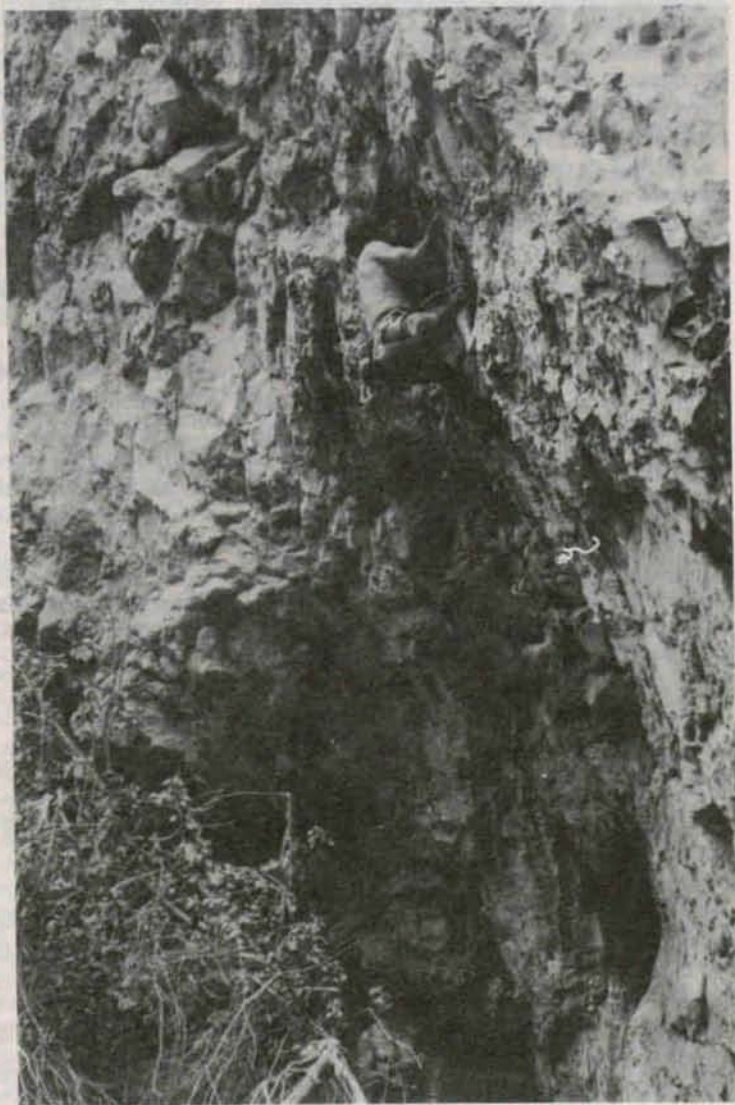
Jak widać, wciąż obowiązuje i skałkowe prawo Fijałkowskiego: Ostatni przelot nigdy niżej kolan!(a)

Taternicy z „maryśką”?

Popularny poznański (ale czytany w całym kraju) tygodnik „Wprost”, w numerze 41 z dnia 10 października opu-

blikował artykuł pt. „Patent na skręta”, w którym czarno na białym napisano, że „Narkokurierami [chodzi o przemyt narkotyków przez Tatry] są najczęściej taternicy, zarabiający w ten sposób na wyprawy zagraniczne”. Zadziwia lekkość, z jaką poważne, jak by nie było, pismo publikuje pozbawione podstaw i szkodliwe dla naszego środowiska opinie. Bez wątpienia ktoś te świństwa przez góry przenosi (lub może raczej przewozi, bo naszym celnikom potrafią zginąć całe tiry, co tam wspominać o plecaku „amfy” czy „hery”), tylko dlaczego od razu mieliby to być taternicy? Na efekty nie trzeba było długo czekać. Gospodarze „Bettlejemki” – Boguś Słama i Wojtek Święcicki już nam donieśli o (chyba spóźnionej) wizycie panów z UOP-u.

Nasza rada dla UOP jest prosta. Skoro wiadomo, że „oni” zbierają forszę „na wyprawy”, to trzeba tylko sprawdzić, kto najczęściej na nie wyjeżdża. I podpowiadamy: Wielicki, Kurtyka, Pawłowski, Lwow, Berbeka, Stefko... Wystarczy?(a)



Plastic Prince (5.11b/c) First Ice cave Rifle, Colorado. Kazimierz Śmieszko (i Marcin Kacperek). Foto: Władysław Janowski

Noc poprzedzająca atak szczytowy jest zawsze ciężka, nawet jeśli pogoda dopisuje. Taki biwak na stokach ośmiotysięcznika musi być założony na wysokości ok. 7500 m n.p.m. lub wyżej, a w każdym razie na tyle wysoko, by w ciągu jednego dnia alpinista zdołał ewentualnie wejść na szczyt i powrócić z niego przynajmniej do najwyższego z obozów, choć zawsze lepiej jest schodzić z wierzchołka od razu najniżej jak się da.

Podczas takiego biwaku najbardziej daje się we znaki wysokość (brak tlenu), zaś zimno, ciasnota namiotu i dotychczasowe zmęczenie wspinaczką, a bywa, że i niedostatek jedzenia lub picia, tylko koszmar tej przedszczytowej nocy pogłębiają.

Z Amerykanami na Gasherbrum (4)

Czwarty ośmiotysięcznik na czterdziestolecie

Nasza wyprawa zdołała zainstalować w obozie czwartym dwa maleńkie dwuosobowe namioty, ale wkrótce jeden z nich okazał się być bardziej potrzebny w „trójce”, więc zespół Thora Kiesera schodząc ze szczytu przeniósł go w dół. Z tego powodu następni chętni do wejścia na Gasherbrum II byli zmuszeni do biwakowania w nieprawdopodobnej ciasnocie, co znacznie komplikowało i tak już wyjątkowo nieprzyjemne nasze położenie na tej wysokości.

Po czterech dobach przeczekiwania zamieci w trójce, pogoda pozwoliła nam jedynie na względnie spokojne przejście z obozu III (6900 m) do IV (7400 m), i znów się załamała. Wicher szarpiąc namiotem przez całą noc dał nam do zrozumienia, że o wyruszeniu na szczyt nie mamy nawet co marzyć. Jedzenie od dawna było na wykończeniu i wymiataliśmy resztki walające się po kątach namiotu, by przetrwać jeszcze trochę – a nuż pogoda ulituje się. Decyzja o tym, jak długo będziemy jeszcze czekać, należała wyłącznie do mnie. To ja miałem i mogłem przetorować szlak do szczytu, więc jedynie od mojej determinacji zależało, czy zostaniemy w czwórce jeszcze jedną noc. Jak dotąd Piotr i Larry milcząco podporządkowywali się moim wyborom. Zdawałem sobie sprawę, że kiedy zejść do bazy już nie będzie mi się chciało próbować jeszcze raz, gdyż miałem powyżej uszu kursowania po beznadziejnie długim, skomplikowanym i nudnym lodowcu pomiędzy bazą i jedyneką. Natomiast dalsze przeczekiwanie ograniczone było brakiem jedzenia, wysokością i zmęczeniem. Ciasnota, w jakiej przyszło nam spędzić tych kilkadziesiąt godzin, dopełniała reszty – trzech mężczyzn i sprzęt na powierzchni 2,5 m². Proszę przy okazji spróbować, gdyż nawet nie potrafię tego przekonywająco opisać. Spanie nie wchodzi w rachubę, co najwyżej płytka, męcząca drzemka. W takich warunkach mogliśmy sobie pozwolić na co najwyżej jeszcze jeden biwak, ale to był już absolutny kres naszej wytrzymałości.

Noc z 27 na 28 lipca była spokojna.

„Czyżby pogoda miała wreszcie zacząć nam sprzyjać?” – rozmyślałem. Trudno mi było w to uwierzyć. Nie zmrzyłem oka, nie chcąc przegapić godziny 2⁰⁰, umówionej pory naszego wstawania.

Wyruszyliśmy o 4¹⁵. Niebo na wschodzie zaczynało rozjaśniać się, było piekielnie zimno, ale – póki co – prawie bezwietrznie. Śnieg głęboki, głębszy, niż się spodziewałem, prawie żadnych śladów po poprzednikach. Zakładałem szlak, a mimo to stopniowo oddalałem się od kolegów. Lecz gdy tylko wyszedłem na przełęcz w grani szczytowej, wicher uderzył we mnie z nadzwyczajną siłą. Próbowaliśmy schronić się pod którymś z niewielkich seraków, ale były to wysiłki daremne. Huragan walił ze

wszystkich stron, miotając unoszonym ze zboczy śniegiem i drobinami lodu. Skulony pod lodowym załomem połączyłem się przez radiotelefon z bazą i przez blisko godzinę czekałem na pozostałych, wątpiąc coraz bardziej w to, że uda mi się w tych warunkach wejść na szczyt. A jednak...

Gdy zobaczyłem na skałkach starą poręczówkę zrozumiłem, że szczyt jest mój. Pamiętałem relację Thora: „ostatnie 100-150 m jest bardzo strome, ale wisi tam stara lina, która wyprowadza niemal na wierzchołek”.

Stałem na nim o 9¹⁵. Choć o wierzchołek sąsiedniego Hidden Peaka (8068 m) ocierały się pędzące chmury, a ja byłem niemal na ich granicy (8035 m), nic nie zasłaniało mi horyzontu – dookoła mnie, aż po widnokrąg, wszędzie były góry i tylko góry. Wśród nich najsympliczniejsze i najpotężniejsze: K2, Broad Peak, Nanga Parbat, Masherbrum, Chogolisa. Filmowałem je kamerą wideo dziwiąc się, że tak wysoko, na mrozie i w wietrze owo japońskie чудо wciąż działa. – Tak wygląda moja morda na tle najwyższych gór świata – bełkotałem do obiektywu przez zupełnie załedzone wąsy, obracając się powoli dookoła własnej osi, i nawet wiatr w tym momencie nie wydawał mi się taki straszny.

Gasherbrum II był moim czwartym, jak się okazało wcale nie najłatwiejszym, ośmiotysięcznikiem. Żartując potem w bazie z kolegami, sam podarowałem go sobie, jako prezent na czterdzieste urodziny. Czy można by wymyślić lepszy?

* * *

Niewiele później po moim sukcesie na Gasherbrumie II i powrocie do kraju dotarła z Pakistanu kolejna pomyślna wiadomość: wrocławianin Bogdan Stefko i Ryszard Pawłowski z Katowic zdobyli Nanga Parbat (8125 m). Wcześniej Stefko posiadał już na koncie Annapurnę (8091 m), natomiast Pawłowski Broad Peak (8047 m) i również Annapurnę. Trzy dni po nich, na szczycie Nangi stanął również (w towarzystwie Niemca) Mirosław Konewka.

Mój klubowy kolega Bogdan Stefko

(rocznik 1965) należy do garstki polskich himalaistów młodszego pokolenia. Niestety, prócz niego, nie bardzo widać kandydatów do „przejęcia pałeczki” po zwolna odchodzącym od alpinizmu wysokościowego pokoleniu alpinistów, którzy – jak ja – zachowując aktywność sportową do dziś, szczyt formy z lat 80. mają już za sobą (Wielicki, Kurtyka, Pawłowski – nie licząc osób już nie uprawiających tego sportu).

Powodem tego są przede wszystkim pieniądze: młodzi alpinisci nie są w stanie zdobyć funduszy na zorganizowanie własnej wyprawy, a bez udziału w licznych ekspedycjach nie sposób zdobyć doświadczenia i sukcesów dających „nazwisko” i w efekcie dojście do ewentualnych sponsorów.

Niezależnie od tego być może najświeższe osiągnięcia Polaków w górach najwyższych są sygnałem, że nasi alpinisci zaczynają powracać na arenę światową, gdzie jeszcze w latach 80. zajmowali jedną z czołowych pozycji.

Otóż we wrześniu, aż z Chin zatelefonował do Polski Krzysztof Wielicki (obecnie nasz najlepszy himalaista), by powiadomić o kolejnym swoim sukcesie. W drugiej połowie tego miesiąca razem z Piotrem Pustelnikiem z Łodzi i dwoma alpinistami zagranicznymi, zdobył swój 9 ośmiotysięcznik, Cho Oyu – 8201 m.

Kierowana przez Wielickiego międzynarodowa wyprawa komercyjna miała na celu jednocześnie dwa szczyty, Cho Oyu i Shisha Pangma – 8013 m, które atakowała od strony należącego do Chin Tybetu. W październiku Wielicki w samotnym ataku pokonał również i tę drugą górę.

Ostatnią, jak dotąd, dobrą dla Polaków wiadomością z gór najwyższych było doniesienie o wejściu Macieja Berbeki, który uczestniczył w wyprawie brytyjskiej, na Mount Everest – 8848 m od strony północnej. Tym samym Berbek zaliczył piątą swój ośmiotysięcznik, będąc jednocześnie ósmym z kolei Polakiem na najwyższej górze świata i pierwszym, który dokonał tego od strony chińskiej.

Krótkie podsumowanie minionego sezonu himalajskiego Polaków wypada zaskakująco korzystnie. Zaskakująco, gdyż trzeba pamiętać, że w minionym roku praktycznie nie zorganizowano w naszym kraju żadnej wyprawy – alpinisci albo dołączali się do ekspedycji zagranicznych, zapraszani bądź odpłatnie, albo sami organizowali międzynarodowe grupy, które funkcjonowały na zasadach komercyjnych. A efekty, jak za najlepszych czasów himalajskiego boomu (lata 80.): Gasherbrum II (2 os.), Nanga Parbat (3 os.), Cho Oyu (2 os.), Shisha Pangma (1 os.) i Everest (1 os.).

I nikt nie zginął!

Aleksander Lwow

HEJSZOWINA

Ten rejon wspinaczkowy był i stale dalej jest od głównego nurtu skałkowego wspinania sportowego w Polsce. Skałki w Hejszowinie są jednak szlachetnie atrakcyjne, z roku na rok przybywa tam nowych i pięknych dróg. Na przykład na południowych ścianach masywu Wielkiego Szczerlińca jest ich aktualnie ok. 120. Miniony sezon przyniósł kolejne nowe rozwiązania. Dużą aktywnością tradycyjnie wykazali się lodzianie, których klub niedawno kupił dom we wsi Pasterka, zapewniający im znakomitą bazę noclegową w tym rejonie. Do najaktywniejszych należał Michał Szczepanik, który niemalże przez całe lato każdą sobotę i niedzielę poświęcał na robienie nowych dróg (Vllc-Vlllc). Kilka nowych dróg zrobił również Sebastian Pietkiewicz (z Kłodzka), a wśród wspinających się bardziej znanych osób można było spotkać Jana Fijałkowskiego i Jacka Kozackiwicza. Wydarzeniem sezonu, budzącym jednak sporo kontrowersji, było poprowadzenie przez Czechów (ich nazwiska nie znam) nowej drogi o trudności Xc na przewieszanej ścianie pod tarasem widokowym na Wielkim Szczerlińcu. Autorzy drogi do asekuracji użyli spitów, które wbiłi ze zjazdu, co nadal nie jest przez wszystkich w Hejszowinie akceptowane. Spity te zostały następnie wyciągnięte przez członków dawnej Komisji Piaskowcowej. Komentarz: szkoda dwukrotnie „molestowanej” skały, pracy i czasu poświęconego przez ekipy montażową i demontażową, szkoda też ładnej drogi, która byłaby najtrudniejsza w tym rejonie...

Władysław Janowski

POLACY W YOSEMITE '93

Minionej jesieni w Dolinie Yosemite w Kalifornii panowała ładna i słoneczna pogoda. Jak zwykle przebywały tam rzesze gości z całego świata, wśród nich również polscy wspinacze.

W dniach 27-31 października Bogdan Kaleta i Kazimierz Śmieszko dokonali przejścia drogi „Zodiac” na El Capitan (VI, 5.11, A3+, 16 wyciągów, w tym 12 hakowych). Zdaniem Śmiejszki, dla którego była to już czwarta przebyta droga na tej ścianie, „Zodiac” ze względu na miejscami występującą kruszynę jest drogą nieznacznie trudniejszą od pokonanej przez niego w zeszłym roku „The Shield”. Warto dodać, że obaj wspinacze mieszkają w USA – Kaleta od 4 lat w Nowym Jorku, a od niedawna w Charlotte w Pn. Karolinie, zaś Śmieszko rezyduje od 3 lat w Nowym Jorku. W tym samym czasie co wyżej wymienieni działał w Dolinie inny polski zespół: Jacek Krawczyk i Stefan Wiśniewski przeszli m.in. „Salathle Wall” na El Capitan – z 3 biwakami. Również i oni od kilku lat mieszkają w USA – pierwszy od niedawna w Południowej Kalifornii, a drugi w New Jersey.

W sierpniu w Yosemite poniósł śmierć Miroslav Šmid, znany czeski alpinista, autor szeregu pierwszych przejść w górach na całym świecie, fotografik i filmowiec, autor książek górskich, a także utalentowany prelegent. Wypadek wydarzył się na przełęczy pod Lost Arrow Spire, w czasie manewrów związanych z zejściem z turni i wyjściem na masyw. Tuż przed upadkiem Šmid znajdował się bez asekuracji w skalnym terenie o trudności 5.6, jednakże nie jest znana bezpośrednia przyczyna wypadnięcia.

Władysław Janowski

KIERUNEK ELDORADO

W dniu 15 czerwca 1993 r. wyruszyliśmy – Marcin Kacperek, Kazimierz Śmieszko i niżej podpisany – w podróż samochodem z Filadelfii (Pensylwania) do stanu Kolorado. W czasie tego krótkiego, 19-dniowego wyjazdu zamiarem naszym było przejście jednej z (34) dróg na ścianie The Diamond na Longs Peak (4344 m). Niestety, w Boulder (Kolorado) dowiedzieliśmy się, że warunki wysoko w górach nie są łatwe, raz po raz pada tam śnieg i w związku z tym jest jeszcze za wcześnie na wspinanie się wybraną przez nas ścianą, mokrą i narażoną na spadające kamienie. Ufni w powyższe informacje i rady, których udzielił nam Eric Doub, nasz

gospodarz w Boulder, osoba jak najbardziej kompetentna w tej materii (współautor Eroi, 5.12, najtrudniejszej drogi klasycznej na Diamond) zmieniliśmy nasz plan działania i udaliśmy się, po jednym słonecznym dniu spędzonym w Eldorado Canyon, jeszcze bardziej na zachód – do Rifle.

Spędziliśmy tam 6 dni. Były one pracowite i bardzo dla nas wszystkich udane. Wapienne skały w Rifle (zob. „Na Szlaku” 7-8/93, s. 39, „Skały Kanionu Rifle w Colorado”), których wartości wspinaczkowych nie sposób jest przecenić, piękne i teraz bardzo modne, oferują cały szereg dróg sportowych, głównie o trudnościach 5.11-5.13 (UIAA 7+/10+). Cała nasza trójka przeszła jedną drogą 5.12b, RP (Ruckus, The Wasteland) oraz kilka o trudności 5.12a: The Eleven-C (Skull Cave; Śmieszko OS, Janowski RP), Left El Sapper (Sapper Cave; Kacperek RP, Śmieszko RP), Fossil Family (The Nappy Dugout; Kacperek RP, Śmieszko RP), Firearms (Firing Chamber; Śmieszko RP, Janowski RP), Warmup (The Arsenal; cała trójka RP). Powyższe przejścia redpoint robiliśmy na ogół w czasie drugiej lub trzeciej próby prowadzenia drogi, bez poświęcania czasu na dłuższe ich patentowanie. Oprócz tego przeszliśmy wiele ładnych dróg 5.11a-d (większość OS lub F), choć trzeba to gwoli rzetelności przyznać, zdarzały się sporadycznie przypadki, że dróg o tych trudnościach przejść nie mogliśmy. Naszego entuzjazmu do wspinania w Rifle nie były w stanie zachwiać nawet kłopoty, jakie mieliśmy z kleszczami, których obfitość występowania nieco nas zaskoczyła. Nie było dosłownie dnia, żebyśmy nie znajdowali ich na sobie; szczęśliwie odbyło się bez powikłań. Warto jednak wiedzieć, że tamtejsze kleszcze są nosicielami wielu wirusowych i bakteryjnych chorób.

Dalsza nasza droga wiodła do Salt Lake City w stanie Utah i położonych nieopodal miasta w malowniczej dolinie skałek wapiennych w American Fork Canyon (Wasatch Range South), które powszechnie są znane dzięki Hall Cave, pokrytej siatką kilkunastu dróg 5.12-5.13-5.14. Przez półtora dnia, jakie tam byliśmy, przeszliśmy m.in. Struggling Man (5.12a, Śmieszko RP) i Liquid Oxygen (5.12a, Śmieszko, Janowski, obaj RP) na Division Wall.

Kolejnym etapem naszej podróży była mała górka miejscowości Lander w Wyoming, w której sklep wspinaczkowy jest własnością sławnego Todda Skinnera, a położone w pobliżu wapienne Wild Iris, będące naszym celem, były przez jakiś czas po ich odkryciu trzymanym przez niego w tajemnicy przed konkurencją rejonem. Skałki te położone są na wysokości ok. 2800 m w przyjemnych widokowo górach. Byliśmy tam przez 1 dzień. Zaledwie kilka godzin następnego dnia poświęciliśmy na wspinaczkę w nieodległym Sinks Canyon, w którym ciekawostką geologiczną jest występowanie w jednej dolinie obok siebie skały piaszczystej, wapiennej, dolomitowej i granitowej. W obu tych rejonach przeszliśmy po kilka dróg 5.10-5.11, na paru trudniejszych wieszając „motykę”. W Wild Iris mieliśmy okazję, żeby przyrzec się, jak wspina się legendarny Tony Yaniro, który pięknie przeszedł OS Wind and Rattlesnakes (5.12a, Rode Hard).

W drodze powrotnej na Wschodnie Wybrzeże spędziliśmy jeszcze 1 dzień (byliśmy tam jadąc w przeciwną stronę) w Red River Gorge (Kentucky) oraz kilka godzin w New River Gorge (West Virginia). Potwierdziło się ostrzeżenie powtarzane w publikacjach, że lato nie jest niestety najlepszym sezonem do wspinania się w tych miejscach. Wielka wilgoć, tropikalna roślinność i wysokie temperatury powodują, że całe połacie skalnych ścian są zupełnie mokre i pokryte drobnymi kroplami wody wyglądają jak spocone. Tak było i teraz. Wspinanie w takich warunkach wymaga – tak mnie się wydaje – specjalnej motywacji i samozaparcia, którego nam w zasadzie zabrakło.

Wieczorem dnia 3 lipca dojechaliliśmy do Filadelfii, skąd Kazik jeszcze tego samego dnia, po odwiezieniu Marcina do New Brunswick, pojechał dalej w ... skały – w Shawangunks.

Władysław Janowski

PAMIĘTNIKI LENI RIEFENSTAHL

W październiku 1993 r. w Stanach Zjednoczonych ukazał się w sprzedaży przekład pamiętników Leni Riefenstahl pt. *A Memoir* (St. Martin's Press New York, ss. 669, cena 35 \$), co zbiegło się z pokazem na Nowojorskim Festiwalu Filmowym z niemieckiego filmu dokumentalnego Raya Müllera „The Wonderful, Horrible Life of Leni Riefenstahl”.

Leni (Helene) Riefenstahl, reżyserka filmowa, ale również aktorka, scenarzystka, tancerka i fotografik, obecnie mająca 91 lat, miała niezwykle ciekawe życie, w którym góry i wspinaczka zajęły pewne miejsce.

Zaczęła karierę jako tancerka w 1920 r., wkrótce później zadebiutowała jako aktorka w filmie Arnolda Fancka „The Holy Mountain”, by pod koniec lat 20-tych stać się gwiazdą górskich filmów wspomnianego reżysera (m.in. „The White Hell of Piz Palü”). Korzystając z tych doświadczeń zostaje współautorką scenariusza, reżyserem, producentem i główną aktorką w filmie „The Blue Light”, który zdobył nagrodę (Srebrny Medal) na Biennale Filmowym w Wenecji w 1932 r. W „The Blue Light” – wspomina – musiałam się wspiąć bez asekuracji, ale ponieważ wspinaczka górską była moją pasją, robiłam to z przyjemnością.

Pelen szacunek dla talentu Leni, Adolf Hitler nazwał ją swoim ulubionym reżyserem filmowym. Nakłoniona (?) do zrealizowania filmu pełnometrażowego o partii nazistowskiej nakręciła „Triumph des Willens” (1934-36 r.), wielokrotnie później nagradzany, który żarliwie upowszechnia faszystowskie ideały. Nakręciła również opowieść o Wehrmachcie („Tag des Freiheit”, 1935), sławną „Olimpiadę” (1936-38) i liryczny portret wodza narodu w filmie „Berthegsgaden über Salzburg” (1938). Po wojnie sądzona, ale oczyszczona z zarzutów o współpracę z nazistami.

W pewnych kręgach nadal uważana jest za wojennego przestępcę, z kolei w innych za geniusza filmu. W zależności od punktu widzenia Leni Riefenstahl może symbolizować los naiwnej aktorki i reżyserki współpracującej z Hitlerem, który ułatwił jej zrobienie kariery i z Goebbelsem, który próbował ją zniszczyć, podejrzewając Leni o żydowskie pochodzenie. W ósmej dekadzie życia zajęła się z powodzeniem nurkowaniem i filmowaniem pod wodą.

Władysław Janowski



Kazimierz Śmieszko na drodze ? (5.10c).

Firing Chamber, Rifle, Colorado

Foto: Władysław Janowski

Teofil Lenartowicz

CHATA POD ŚNIEGIEM

*Kto z Bogiem,
To i Bóg z nim.*

Było to w górach, gdzie śniegi nie giną,
Bystra rzeczulka przepływa doliną,
Ponure bory czernią się wokoło,
W parowach rzeźka młódź huk wesoło,
A góry jeszcze, wierzchołki i brzegi
Przeszlórocznymi obleczone śniegi;
Aż kiedy słońce ogniście dogrzeje,
Ów śnieg w szeroką rzekę się rozleje
I lecąc z góry na chaty górali,
Czasami całą osadę zawali;
Słuchajcież bracia, o nieszczęściu człeka,
A wierzcie, że jest nad ludźmi opieka.
Oto jak było, kiedy raz w dzień biały,
Góralską chatę śniegi zasypały,
Co przystawiona do skały na boku,
We mgłach z daleka stała, jak w obłoku,
Za którą góral szafas wybudował,
Kędy kilkoro owiec w ziemie chował,
I tak dobytek cały miał za chatą,
A w izbie wszelki był porządek za to.
Jednego razu, gdy cała czeladka,
Troje drobiazgu, stary Jan i matka,
Siedzieli w chacie, obsiadłszy ognisko,
Huk przeraźliwy usłyszeli blisko.
Patrzą: kurzawa, śniegi z góry lecą,
I naraz ciemno, tylko węgle świecą.
Wnet zrozumieli, co się z nimi stało,
Jedno i drugie ręce załamało:
„Matko, Królowo! Toć już pomrzeć z głodu!”
Bo do szalasu nie było przechodu.

(...)
Długi czas Janek, co czynić, nie wiedział
I jak zdreptał przed ogniskiem siedział;
Aż kiedy dzieci, zbudzone na nowo,
Poczęły z płaczem kwilić mu nad głową,
Wołając z ciemnych kątów: „chleba, chleba!”
Poczuł, że przeciw coś próbować trzeba.
Głód małych dzieci siły mu podwoił,
Toporem ręce żylaste uzbroid
I drzwi wywalił, i jął kopać w śniegu,
Ale się nie mógł przedostać do brzegu.
(...)
Nie mogąc drzwiami, wywalił okienko
I począł silnie śnieg rozgarniać ręką.
Palce zgrybiały, nie odbił dwóch łokci,
Kiedy krew jąła bryzgać spod paznokci
I trzeba było próżny trud odłożyć.

(...)
Nareszcie przyszedł ten czas i godzina,
Kiedy naprawdę śmierć się przypomina,
Wiedzący tedy, że umrzeć przychodzi,
Jako się biednym chrześcijanom godzi,
Poklękali biedni ludzie na pacierze;
Lecz na myśl samą, że ich Bóg zabierze
Bez sakramentów i bez rozgrzeszenia
Za wszystkie grzechy, wszystkie przewinienia,
Poczęli biadać, tuc głowy o ścianę.

(...)
Gdy się już prawie widzieli przy grobie,
Najstarsze dziecko, jakby chcąc ich zbawić,
Otarło oczy i tak jęło prawić:
„Oto widzicie, ja rzecz taką czuję,
Która mnie cieszy i bardzo raduje.
Wszak pamiętacie to śliczne kazanie,
Coście mnie latoś prowadzali na nie,
O Abrahamie i o Izaaku,
Którego ojciec chciał poświęcić w krzaku.
Otóż ja chcę być jak Izaak mały,
Żeby te dzieci pożywienie miały,
I nie krzyczały już i nie płakały,
A jak ja umrę, jak ja tę rzecz zrobię,
To mnie do nieba Pan Bóg weźmie sobie.
(...)

SCHRONISKA SUDECKIE PTTK

W RYSUNKU PAWŁA DACKO

Samotnia



Ot, weźcie topór prędzej, mój ojczuśku
I pójďte bliżej, ja tu sam przy pierku”.
A w teże chwili huk się rozległ wokoło,
Spuszczony w górę podniósł góral człoło.
Po przeminięciu pierwszego przestrachu,
Gdy przycichł łomot zapadłego dachu,
Ciekawy góral wybiegł z ciemnej nory
Do zawalonej śniegami komory.
Aż owo ujrzy z serdeczną pociechą,
Że się dzień bieli nad złamaną strzechą.
Światło przegłąda przez śnieżycę białą,
Tak, że już wokoło widzi izbę całą;
Śnieg się obrywa, pęka, a ze śniegiem,
Sarenka mała, utrudzona biegiem,
W chwili roztopu nad chmurą Łomnicą,
Porwana na dół z lecącą śnieżycą,
Spadła przed człeka, co jak z martwych ozył,
Jakby mu anioł baranka położył.

(...)
Taka się w górach historyja stała,
Z której podwójna Panu Bogu chwała,
Że zbawił ludzi ode śmierci z głodu,
I stąd, że spośród biednego narodu
Coraz to jakaś sierotkę wywiedzie,
By jak gołąbek leciała na dziedzie,
Prowadząc nasze białe, górskie stado
Ze świętych Pańskich złocistą gromadą.

Śpiewając w wigilijny wieczór koledy, nucimy
nieraz „Mizerna, cicha stajenka licha...”, nie pamiętając, że napisał ją „Irlnik mazowiecki”, Teofil Lenartowicz (1822-1893). Ale też poszedł w naszych czasach ten autor ślicznego *Złotego kubka* i wielu jeszcze niezwykle pięknych wierszy w zapomnienie całkowite. Nikt nie zauważył, że w bieżącym roku upłynęło równo sto lat od jego śmierci. Kiedyś poczytny i kochany za swój liryzm, dziś stał się poetą zupełnie zapomnianym. Lenartowicz był w Tatrach dwa razy – przed

wyjazdem na emigrację w 1842 r. i potem raz jeszcze w 1875. Wrażenia z tych podróży do polskich gór zostawiły w jego twórczości sporo ciekawych śladów, inne zaś „górskie” owoce wydała jego przyjaźń z Oskarem Kolbergiem i Tytusem Chałubińskim. *Złota kaczką* i *Strzelec* (1842), *O góralach* (1851), stylizacja góralskich śpiewek w *Przywitaniu* (1861), *Grajki wędrownie*, *Pożegnanie*, *Wanda*, poświęcony pamięci Chałubińskiego *Dunajec* – wreszcie, przytoczona tu w dużych fragmentach – *Chata pod śniegiem*, dowodzą, że „Irlnik mazowiecki” w długich latach swej emigracji, gdy tęskniąc za Polską „na wschód zwracał głowę swym zwyczajem”, sporo także myślał o polskich górach i polskich góralach. Dramatyczna, a zarazem pełna liryzmu *Chata pod śniegiem*, przedstawia zdarzenia, które raczej zająć mogły w Alpach niż w Tatrach, to bardzo jednak znamienne, że właśnie z Tatrami, z ukochaną przez romantyków Łomnicą, związał Lenartowicz swą opowieść o dziecku, które chciało poświęcić własne życie dla uratowania swych bliskich. Ujawniają się tu te cechy poezji Lenartowicza, które sprawiły, że był poetą bardzo poczytnym i prawdziwie kochanym. Buntował się czasem przeciwko papieżstwu, ale Boga kochał szczerze czystą religijnością, wierzył w dobroć ludzką, a choć pełen był nieraz smutku, nie załamał się w tej wierze w Boga i ludzi, czego jednym ze śladów jest ta jego opowieść o dramatycznym górskim zdarzeniu, ukazany z dużym prawdopodobieństwem realny, znamienych dla krajobrazu wielkich gór. Nie trzeba się więc zżymać, że ta historia nie mogła się w Tatrach zdarzyć. Warto raczej dostrzec, że jedną z miłości tego poety były polskie Tatry. I warto pamiętać o tym dobrym, mądrym człowieku, autorze wielu pięknych wierszy, jakże niesłusznie w sto lat po zgonie – zapomnianym.

Do druku podał Jacek Kolbuszewski

UWAGA PRENUMERATORZY!!!

Informujemy, że prenumerata za 1994 r. wynosi, wraz z kosztami przesyłki (przy wpłacie do końca 1993 r.), 150 000,- zł.

Po 1.01.94 r. prenumerata wynosić będzie 190 000,- zł.

Wszyscy, którzy opłacą prenumeratę do końca 1993 r., wezmą udział w losowaniu kilkunastu nagród.

Uwaga! Nowy telefon do Redakcji: 386-69.